

Czesław Muklewicz "Swierk".

Nie zabierać
do AW I/549

© ARCHIWUM WISNOCIE

Urodziłem się w 1919 r. Gdy wybuchła wojna moi rodzice mieszkali w Białymstoku. Miasto nie było chyba bombardowane. Pamiętam tylko, jak pojawił się Messerschmitt. Artyleria, która stała pod Krasnym zaczęła do niego strzelać. Gniazdo karabinów maszynowych było też na budzie na dworcu kolejowym, gdzie dzisiaj jest zwrotnica, Samolot zniżył wówczas lot i leciał nad samymi domami. Udało mu się uciec. Innym razem pojawiły się trzy polskie ^{było} dwupłatowce. Widać polskie znaki. Nie wiem dlaczego ale artyleria zaczęła do nich strzelać i jeden z nich został trafiony. Wylądował przy torach pod Bagnówką. Wtedy, my chłopaki, rzuciliśmy się grupą i pobiegliśmy przez te tory, żeby zobaczyć go. Zaraz też przybiegli policjanci. Jeden z nich miał karabin "Mors". Z samolotu wyszedł pilot w polskim mundurze z dystynkcjami kaprała. Kazali mu podnieść ręce i zabrali go ze sobą. Może myśleli, że to Niemiec, albo szpieg, bo te samoloty zachowywały się jakoś dziwnie. Zaczęły krążyć nad stacją i pobliskimi Koszarami 42. pp. Może to dlatego zaczęto do nich strzelać, chociaż znaki polskie były dobrze widoczne. Nasza artyleria była nowoczesna. Brat, który tuż przed wojną służył w wojsku, opowiadał mi, że te działa strzelały 120 pociski na minutę. Służył wtedy w Grodnie.

Gdy Niemcy zaczęli się zbliżać, wtedy poszyliśmy z ojcem worki na plecy, i posiadaliśmy na rowery i ruszyliśmy na Wołkowysk. Dojechaliśmy gdzieś za Bobrowniki i ojcu słabo się zrobiło. Myślę: co tu robić? Jakoś dojechaliśmy do Swisłoczy. W miasteczku tym mieszkał chrzestny mego brata. I tam na razie zatrzymaliśmy się. Ludzie stali na ulicach i w grupkach dyskutowali. Wszyscy byli obcy. Nikogo tam nie znaleźliśmy, poza rodziną, u której mieszkaliśmy. Jednego dnia był taki wypadek: wracał furman z taboru i mówi, że w Wołkowysku tabory rozpuszczają a to szpie-dzy rozpuszczali, bo ja tak to sobie później wydedukowałem. I a-

kurat jechał por. kawalerii ze swoim adiutantem. Przy mnie zatrzymał tego żołnierza z taboru. Skąd? - spytał się go. Demobilizują w Wołkowysku - odpowiedział zdziwiony furman. Zawracaj - powiedział do niego * i pojechali razem. Pomyślałem sobie, że to pewnie szpiegi niemieckie albo sowieckie działają w Wołkowysku.

Minęło parę dni. Przez miasteczko szli żołnierze z rozbitych jednostek. Prosili Żyda, żeby otworzył sklep i sprzedał im trochę papierosów, to ten odmówił. Innym razem stałem na ulicy i rozmawiałem z ludźmi. Patrząc, a tu ulicą jedzie sowiecki czołg. Akurat wtedy w miasteczku byli ułani z 2. p.uł. suwalskich /chyba/. Konie poprzywiązywali za uzdy do płotów i ludzie chyba pobrali ich do siebie - dawali jeść. Ktoś chyba ich ostrzegł, że czołg wjechał do miasteczka, bo rzucili się do koni. Wtedy ci z czołgu pościli serię w powietrze. Myśleli może, że Polacy się poddadzą, ale ułani otworzyli do nich ogień. Dwóch czy trzech zostało chyba rannych, ale wszyscy zaraz odskoczyli błyskawicznie. Znikli błyskawicznie. Widać po nich było, że są świetnie wyszkoleni. A cywile z kolei zaraz powyciągali z ukrycia broń i już tu latają jak szaleni po miasteczku. Jeszcze wczoraj rozmawiali ze mną a dziś już jak by mnie nie poznawali. Prosto jak dzikusy. Patrzyłem na to i żal mnie brał za serce.

Po jakichś dwóch dniach ojciec postanowił, że wracamy do domu, mimo tego, że nienajlepiej jeszcze się czuł. Ruszyliśmy drogą przez Brzostowicę. Na stacji zauważyliśmy, że Białorusini złapali polskiego policjanta i trzymają go pod strażą w ubikacji, dookoła której latali, krzyczeli wniebogłosy i wymachiwali karabinami. Po prostu wyglądało to jakby murzyni w Kongo złapali białego i chcieli go zjeść. Tak to wyglądało. Jak dzicz. Wszyscy

byli w cywilnych ubraniach. Niektórzy mieli na rękawach czerwone opaski. Wszyscy byli uzbrojeni. Zaraz i nas wylegitymowali. Przy okazji zabrali mi z roweru latarkę - miałem taki fajny reflektor - i puścili nas. Odjechaliśmy szosą od stacji może jakieś pół kilometra - patrzymy a w rowie, przy szosie, siedzi banda. A jak. Też uzbrojeni. Na szosę wyszedł staruszek, miał może 80 lat, podnosi rękę do góry i zatrzymuje nas. Stanęliśmy, bo baliśmy się, żeby nie strzelali do nas. Staruszek podszedł do mnie i chwycił za kierownicę: Ja tożę chaczę jezdzić - powiedział. Ja nie pozwalam wyszarpnąć roweru z rąk i szamoczemy się. To był nowiutki rowerek. Przed samą wojną go kupiłem. Tak szamotaliśmy się, i pewnie ale by się to dla nas skończyło. Pewnie w końcu ~~któryś~~ któryś z nich strzeliłby mi w plecy. Na szczęście w ostatniej chwili nadjechał czołg. Ojciec podniósł rękę i zatrzymał go. Odkoczyła kłapa i wynurzył się do połowy czołgista. Szto takoje? - Twawariszcz leitienant. Ja z synem od Giermańca udirał, a etot chazjain zabierajet nam rower. Sowiet, gdy to usłyszał, chwycił za pistolet o krzyknął ~~o~~ do Białorusina: Ujdi mierzawiec, bo ubiju kak sabaku. Sprawdzili dokumenty. Widać, że to raboczij to puskaj. Zy imiejesz karowy na dierwewni, a on wielosipied w gorodzie. - To chyba ten jeden raz tylko widziałem takiego ruskiego. Czołgista kazał nam jechać. Po chwili usłyszeliśmy, że ruszył za nami. Ujechaliśmy kawałek, ~~ale~~ ⁱ ojciec zatrzymał się. Pomyślał, że może gdzie w krzakach będzie czaiło się polskie wojsko to jeszcze gdzie możemy zostać ostrzelani przez nich. Pomy.lą może, że to jacyś przewodnicy. Przepuściliśmy więc czołg i jechaliśmy za nim. I tak dojechaliśmy do mostu w Ogrodnikach,

gdzie dzisiaj jest granica. Patrzymy tu też stoją Białorusini. Tym razem nic już nam nie chcieli zabierać. Zrewidowali nas tylko i puścili~~ż~~. Dojechaliśmy do Królowego Mostu. Tu stał sowiecki sztab. Pojechaliśmy dalej szosą. Dwa kilometry od szosy jest wieś Boborwo.²¹ Tu ludzie powiedzieli nam, żeby dalej nie jechać, bo w Grabówce stoi niemiecki karabin maszynowy i nikogo nie puszczają. Więc w tym Bobrowie znaleźliśmy gospodarza, który przenocował nas w stodole i dał nam jeść. Na drugi dzień rano wyszliśmy na szosę. Było dużo ludzi. Raptem patrzymy, a od niemieckiej strony jadą dwa samochody z białymi chorągiewkami. To niemiecka delegacja pojechała do Królowego Mostu. Po jakiejś godzinie już wracali. Wśród tej chmary ludzi trafił się żołnierz i mówi: Ja zaraz rzucę w nich granatami. To ludzie przestraszyli się i zaczęli go prosić: Panie nie rób pan tego, bo nas tu jak wpadną to pomordują. Nie rób pan tego, bo to już i tak nic nie pomoże. I żołnierz posłuchał się ich i gdzieś zniknął.

Po jakiejś godzinie sowieckie wojsko ruszyło na Białystok. Gdy przeszli wtedy i my weszliśmy na szosę i pojechaliśmy. Przez Grabówkę i Zaścianki dotarliśmy do toru kolejowego i stąd już do domu. Zostawiłem rower i mówię: Pójdę do miasta zobaczę co się dzieje ciekawego. Zaszedłem ~~na~~ na Warszawską a tu przed komendą już stoją Żydzi i krzyczą i plują na Polskę i wysławiają bolszewików. Dranie, źle im było w Polsce. Tak dobrze jak oni mieli to my nie mieliśmy. Jak mieszkaliśmy wtedy na Piaskach, to wszyscy Żydzi z tej dzielnicy, to albo na kolei, to na poczcie, to w monopolu spirytusowym, to w monopolu tytoniowym pracowało. Oni cały rok pracowali i urlopy mieli i wszystko

i jeszcze im źle było. A my pracowaliśmy tylko po prarę miesiący w roku. Gdy zobaczyłem jak ci niedawni "Polacy" gardzą za wrogiem i opluwają swoją ojczyznę wróciłem czym prędzej do domu. Byłem wściekły na nich. Niedługo potem brat wrócił z Rosji pierwszym transportem z niewoli. Razem z ni wrócił i cioteczny brat. Było jeszcze ciepło. Początki października.

Musiałem iść do pracy. Załatwiłem sobie pracę w fabryce u Sokoła, na Warszawskiej. Tzn. u niego brałem pieniądze, ale pracowałem w drugiej fabryce, na Jurowieckiej. To jak miałem u niego podstępowaną legitymację, to u Żyda w sklepie mogłem kupić na krechę pół sklepu, bo on wiedział, że jak ja pracuję w takiej fabryce, to znaczy, że to jest stała praca i dobrze płatna. Ojciec mój też u niego pracował. Potem zostawił tą robotę bratu a sam poszedł do Supraśla.

Jak sowieci przyszli to z tych fabryk porobili takie kombinaty. Fabrykę na Warszawskiej, Jurowieckiej i na Białostoczczańskiej połączyli w jeden kombinat.

W czasie wyborów to bojcy zachodzili do domów i wyganiali wszystkich, żeby szli głosować - myśmy to nazywali, że do "braciszków", bo w miejscu gdzie dziś dom dziecka, piekarnia, to mieszkali wtedy na Słonimskiej chyba półzakonnicy, którzy prowadzili młyn, piekarnię i sklep. I kaplica tam była przez nich prowadzona. Tak, że myśmy nazywali ten dom - u braciszków. Jak przyszli sowiecki, to wyrzucili ich stamtąd - a punkt wyborczy był właśnie w budynku "u braciszków".

Gdy któregoś dnia rano szedłem do pracy, to widziałem jak ładowali do samochodów Polaków. Wtedy wzięli niedaleko mieszkającą nas rodzinę Zdanowiczów. To matka chyba umarła tam, a córka przeżyła.

W 1941 r. wzięli mnie do wojska. Razem ze mną poszli: Edward

Boratyński i Łoszyn, który już nie żyje. Boratyński to mieszka jego syn przejął po nim zakład pomników marmurowych. na Wygodzie. Zawieźli nas za Charków, do Czigujeva. Pamiętam, że na ćwiczeniach jeden z Ruskich powiedział na chłopaka: Polacka mordą. Edek nie wytrzymał, był przecie z Wygody a to zbowiązuj i walnął go w mordę. Sowiet rozłożył się jak długi a jego kumple rzucili się do nas i chcieli się bić, na szczęście do tego nie doszło. Zaraz po zajściu zrobili zebranie i politruk mówi: Kto kogo nazwie po nacji to od razu dostanie rok więzienia bez więzienia.

Jak zaprowadzili nas na plac, gdzie wydawali broń, to patrzę a tu jakaś rura stoi. Mówię więc do Edka: Chodź, weźmiemy tę rurę. I tak zrobiliśmy. Potem okazało się, że ta rura to moździerz. Może i nam to życie uratowało, bo zawsze byliśmy z tyłu i strzelaliśmy ponad domami, tak, że nie byliśmy na pierwszej linii, bezpośrednio przed przeciwnikiem.

Gdzieś w maju wyruszyliśmy z tego Charkowa marszem. Nie powiedziano nam gdzie idziemy. Wiedzieliśmy tylko, że idziemy na Zachód. Maszerowaliśmy - jak potem się okazało - w stronę Kijowa. Oczywiście warunki były takie, że jak to chłopaki z Wileńszczyzny mówili: Goły, bosy i Bogu protivnyj. Ja tych chłopałów bardzo lubiłem, bo to byli strasznie fajne ludzie i tacy sami wielcy patrioci. Gdy spotkałem ich potem w Gdańsku to byli tacy sami.

Nie pamiętam czy to w Połtawie, czy przed Połtawą, przyszedł łącznik i mówi: Boratyński do sztabu. Edek poszedł. A on był przecież moim amunicyjnym. Godzina minęła - Edka nie ma. Obiad przyszedł - Edka nie ma. Kolacja - Edka nie ma. Potem, już po

wojnie jak wróciłem i on wrócił zaszedłem do niego i pytam się: Co oni wtedy z tobą zrobili? - Jak to co? Pas kazali zdjąć i wywieźć. - Potem trafił do Andersa, czy do Kościuszkowców?. W końcu dotarliśmy pod Kijów. Było nas około 2 tys. Polaków. Pamiętam był z nami taki kapitan, który prosto w oczy naigrywał się, że miał pistolet polskiego oficera, którego zastrzelił, gdy ten uciekał. Potem chyba nasi chłopcy załatwili go, bo widziałem, jak w czasie ataku spadł z konia trafiony pod Smoleńskiem. Potem ten pistolet oddał dla siostry szpitalnej. Inny porucznik z kolei to częstował mnie papierosami. Widać było, że do Polaków nic nie miał.

Mnie uratowało chyba to, że mój ojciec w czasie I-ej wojny jako "bieżeniec" znalazł się w Rosji, gdzie został wcielony do wojska, ale odmówił pójścia na front, w związku z czym został aresztowany. Na szczęście jego kolega, warszawiak, znalazł gdzieś strzępek gazety, w której pisało, że Polaków nie mają prawa brać do wojska. Stawał więc do raportu. Miał przez to tylko dużo biedy. Zabrali mu buty, dali łapcie. Myślał, że go w końcu rozstrzelają. Potem przerwali go do kuchni, tak że nie poszedł na front. Myśmy wtedy mieszkali w Jarosławiu za Moskwą.

Wracając jeszcze do tego Czigujewa. Staliśmy tam 8 kilometrów za tym miasteczkiem, ono z kolei położone było 250 km za Charkowem. Jak przyszedliśmy do tego miasteczka patrzą: żony oficerów żegnają się i płaczą. My, Polacy, zaczęliśmy zastanawiać się między sobą: Czego one płaczą. Coś się dzieje, a one już chyba czuły, że to wojna będzie. Brat też wtedy do mnie taki list napisał, że ja już wiedziałem, że coś wisi w powietrzu.

No i już stoimy pod tym Kijowem. Rozłożyliśmy namioty. Dzień nie szliśmy po 50 - 60 kilometrów, ale ~~wtedy~~ wtedy byłem wytrzymały

W tą niedzielę, co wybuchła wojna - 22 czerwca - mieliśmy iść na ostre strzelanie z moździerzem, bo jeszcze nie mieliśmy takiego. No i zjedliśmy śniadanie, patrzę - piękna pogoda była - a tu nie ma ^a żadnego dowództwa, a oni na odprawie byli ponad godzinę. Wiedzieli już, że wojna wybuchła. Pomyślałem więc sobie, że mam jeszcze czas więc siadłem pod sosną i piszę list do domu. Już wtedy nie pozwalali nam wysyłać listów do domu, ale ja zawsze chowałem je do ładownicy i jak szliśmy przez wieś, to prosiłem jakiejś kobiety: Broście, mamasza, pismo bo nam nielzia pisać, a ja chcę, żeby w domu wiedzieli, że ja żyję - A synoczek, broszę, broszę - odpowiadała chętnie staruszka. Potem spytałem się żony, czy dostała moje listy i faktycznie doszły. Dobrzy więc musieli to być ludzie. Sami nie mieli jeść, a jak zaszedłem do którejś chałupy to jeszcze mlekiem poczęstowali i chlebem.

No i jak ta wojna wybuchła, zrobili zbiórkę i wyczytują Polaków i każą nam broń składać, ale mnie nie wyczytali. Został się też taki Radziszewski z ~~Piskarów~~ Piasków. Stało się tak może dlatego, że chyba wcześniej to każdego z nas, Polaków, sprawdzali. Nasyłali na nas szpiclów. Pamiętam, że któregoś razu mieliśmy nocne ćwiczenia i koło mnie położył się jeden taki i mówi: A, my znam jak u was w Polsce było. - Od razu chyba wyczułem, że to nasłany facet i nie chciałem z nim rozmawiać. Potem ~~znowu~~ znowu dwóch mówi do mnie: My słuszaj, ty z zapada, skażi jak ty Giermańca gonił? - A tam Giermańcy - powiedziałem na odczepnego - Giermańcy jak na sztyki tak udzirajut. - Następnego dnia raptem pułkowy komisarz x zrobił zebranie i mówi: Wot tawariszczi! Adin tawariszcz z zapadnych razkazywał naszym bajcom, kak Giermańcy bajatsia sztyka - Od razu pomyślałem sobie, że to pewnie szpicle byli ci co z nimi rozmawiałem.

Umiąłem gwizdać, więc zawsze - gdy maszerowaliśmy - lejtnant kazał mi podgwizdywać.

Jak ta wojna wybuchła to Polacy zaraz chodzili jeden do drugiego, zamiast odpoczywać, i naradzali się: Co robić, uciekać czy co? Co to nasza ojczyzna, że my mamy za nią walczyć. Nikt z nas nie lubił Sowietów. Jak brali nas do wojska, gdy ładowali pod tunelem na stacji koło magazynów na Sienkiewicza, koło wiaduktu, to jakzaśpiewaliśmy: Nie rzucim ziemi skąd nasz ród - to aż wagony zatrzęsły się. Im to oczywiście nie podobało się, a ludzie machali do nas rękami. Ludzi było sporo, bo to w dzień było. Zabrali nas wtedy ze 2 tys. chłopaków z Białegostoku i z okolic. Pamiętam byli: Bokiniec z Mickiewicza, Wieczorek - był piekarzem - to ci zginęli na froncie. W moim wagonie byli tylko chłopaki z Białegostoku.

Pod tym Kijowem, po rozbrojeniu Polaków, mnie i całą resztę zaprowadzili na stację Rżyszczew. Tam jeszcze na warcie stałem. Widziałem jak od frontu uciekali ludzie, kobiety i dzieci. Pełno krzyku i płaczu. To było nie do opisenia. W końcu załadowali nas do wagonów i ruszyliśmy w drogę. Radziszewski mówi do mnie: Słuchaj, na Japonię jedziemy czy co? - A my przez Brańsk, Orzeł i Kursk przyjechaliśmy pod Smoleńsk. W Brańsku wjechaliśmy na stację, na której stały dwa "eszałony" z benzynę i chyba ze trzy z wojskiem a niebo właśnie zrobiło się czarne od niemieckich samolotów. A właśnie otrzymaliśmy rozkaz: Nie wolno wychodzić z wagonów. Pomyślałem sobie, że pewnie będzie koniec świata. Niemcy na szczęście polecieeli dalej.

Jak przyjechaliśmy pod Smoleńsk to pociąg stanął chyba na stacji koło Katynia - to była już ostatnia stacja na tej trasie - /w telewizji pokazywali parę razy, że rzeka płynie koło Katynia

Dniepr
i tam tak było/ i zaprowadzili nas nad rzekę, żebyśmy się wykna-
pali i wydali nam czystą bieliznę. Jak ubraliśmy się to wydali
nam ostrą amunicję. Przedtem tego nie było, tylko wartownicy dos-
tawali ostrą amunicję.

Jak jechaliśmy do tego Smoleńska, to wiedziałem, że Polaków,
których rozbrojono nie ma znami. Zostali się tam. Do każdej kom-
panii dali młodych oficerów, tylko ten jeden się został, co mnie
lubił i do Polaków odnosił się dobrze. No i jedziemy a on usiadł
koło mnie i wziął mnie za ramię i pyta się: Szto ty dumajesz? -
No dumaju, kak maja siemja, może uże Giermańcy gdzie pobili
kogo? - Ale ty imiejesz łzczsze, kak twai druzja - odpowiedział
na to porucznik. Tak jak teraz wyszło to z tym Katyniem i innymi
miejscami to myślę, że on może był przekonany, że ich wszystkich
zamordowali a ich wywieźli aż pod biegun północny, za Murmańsk.
Tam przynajmniej był Łoszyn Heniek. Dowiedział się, że tworzą
wojsko polskie - te "kościuszkowskie" - o Andersie pewnie nic
nie wiedział. Uzbierał chleba i dał go kolejarzom, za tę "opła-
tę" schowali go w tenderze i w ten sposób przyjechał do Murmań-
ska. Tam znalazł punkt werbunkowy do tego wojska. Jak się tam
zgłosił to oni pytają go czy tam jeszcze są Polacy? - Są - od-
powiedział. To ty tam jedź i przywieź ich tutaj - To wy panowie
jak chcecie to jedźcie, bo ja sam ledwo wyrwałem się. - Tak, że
już nie pojechał tam i poszedł do tego wojska. W stopniu sier-
żanta zdobywał Warszawę, to jego pluton Niemcy wybili do ~~n~~ nogi,
a on schował się pod pontonem i cudem ocalał. To potem jeszcze
miał masę kłopotów, dlaczego to właśnie on ocalał. Niestety zmarł
dwa czy trzy lata temu.

Ale wróćmy do Smoleńska. Któregoś dnia po południu w naszym
obozie pod Smoleńskiem zarządzili zbiórkę i pomaszerowaliśmy do

Smoleńska. Niemiecka artyleria zaczęła bić. Przeszliśmy Smoleńsk, który był już ewakuowany i nie było w nim żywego ducha. Miasto było całkowicie wymarłe. Człem się jakbym był na Księżycu - dookoła mnie były puste ulice i domy. Cała dywizja idzie przez miasto i poza nami nikogo nie ma. Przechodzimy koło restauracji, na chodniku stoi stół a na nim jeszcze talerz leży a wokoło nikogo nie widać. Przeszliśmy miasto i skierowaliśmy się na Witebsk. Gdy dotarliśmy pod miasto, dostaliśmy rozkaz kopać rowy. Oczywiście cały czas szliśmy pieszo i cały sprzęt dźwigaliśmy na ramionach. Ja niosłem ten moździerz, mój amunicyjny niósł dwie bańki, każda po 4 - 5 pocisków do niego, ale młodzi byliśmy to jakoś to wytrzymywaliśmy.

Gdy odpoczywaliśmy po kopaniu tych rowów to jeden żołdat chciał postrzelić się w rękę z karabinu ale ~~x~~ zrobił to tak nieumiejętnie że się poważnie zranił. Zaraz zakładowali go na ciężarówkę i powieźli do Smoleńska. Pewnie go rozstrzelali. Inny z kolei, gdy czyściliśmy broń, też chciał sobie w palec u nogi strzelić to tak to zrobił, że drugiemu strzelił w głowę. Ja to miałem taki krótki karabin ale zawsze zamieniałem się z takim jednym małym Ruskiem który miał długi karabin, który ciągnął mu się po ziemi. To dawałem mu swój i niosłem jego a na miejscu z powrotem zamienialiśmy się.

No i w końcu na przedpolu pojawili się niemieccy szperacze. Było ich kilku. Wostali ostrzelani, kilku chyba zginęło a reszta uciekła. Myśmy byli okopani na polu. Niemcy zorientowali się, że jesteśmy okopani i w nocy zaczęli nas okrążać bokami, ale dowództwo nasze dowiedziało się o tym i kazali się wycorąć. Znowu więc trafiliśmy do Smoleńska. Wtedy Niemcy zaatakowali nasze tabory, które rozbili. Wtedy też przepadł mój plecak z bielizną osobistą.

Potem jak Messerschmitty zaatakowały nas, jak zaczęli do nas pruć, to dobrze, że pod samym Smoleńskiem było pole gdzie ćwiczyło się wojsko, to były tak już okopy, to myśmy pochowaliśmy się w nich. Niemcy zadymili nas i desant wysadzili za Dnieprem, tam gdzie myśmy mieli się cofnąć.

W Smoleńsku weszliśmy na most, gdy Niemcy zaczęli wstrzeliwać się weń. Rzu, rzu, rzu, rzu - pierwszy pocisk spadł do wody. Doszliśmy może do połowy mostu, gdy nadleciał drugi pocisk i wpadł do wody z drugiej strony. Wszyscy zaczęli prędzej maszerować, żeby prędzej znaleźć się na m brzegu. Trzeci wpadł też do wody. W tym czasie nasza kompania szła na czele dywizji, jako pierwsza, chociaż często szła z tyłu i w środku. Zmieniali nas jednym słowem ale w tym czasie szliśmy jako pierwsi i nie wiedzieliśmy, że na przedmieściach Smoleńska, na drugim brzegu rzeki, czeka już na nas niemiecki desant.

Jeszcze przed tym mostem, jak szliśmy ławą, leciała jakaś błędna kula - nie było strzelaniny - nadleciała i trafiła Radziżewskiego. Patrząc: chłopak raptem upadł. Trup na miejscu. Tawariszcz lejżtiena~~nt~~. Nada pacharoni~~c~~ jewo! - krzyknąłem do dowódcy przejęty śmiercią kolegi. Dawaj, dawaj w pieriod, jewo pacharoni~~c~~ - odpowiedział. I ~~wtedy~~ wtedy, jak on dostał, przyszła mi od razu do głowy taka myśl: nie będę szedł środkiem ulicy, tylko pod parkanami i murami. To mnie później wybawiło.

Nasza rozwiadka, co to zawsze idzie pierwsza, chyba została przez Niemców zaskoczona i wzięta do niewoli, bo nie dali nam nic znać i jak podeszliśmy do budynków na kilkadziesiąt metrów to jak szwaby jak zaczęli sieć po nas ogniem broni maszynowej, boże, dębowa skóra. Upadłem pod parkanem i nie mógłłem ruszyć ani głową ani ręką a z jezdni, z asfaltu, dochodził taki dźwięk tych kul, jakby kto aparatem spawalniczym tam robił. Tylko ogień

z tego bruku szedł. Ludzie byli poprzerzynani seriami broni maszynowej na pół. Jedna połowa ~~xxx~~ ciała leży tu, a druga dalej. Myślę: trzeba stąd jakoś wiać, ale Boże kochany ten płot taki wysoki, jak przez niego przeskoczyć, żeby wydostać się z tego ognia. Myślę, że na olimpiadzie zdobyłbym złoty medal w skoku w wyż. Ze strachu przeskoczyłem ten płot razem z karabinem. Jak to się stało, nie ~~xiem~~ wiem. Ten moździerz w czortu wyrzuciłem. Idę przez ogród rapetm patrzę, a tu trzech Niemców mierzy do mnie z automatów a obok nich stoi druga trójka. Okazało się, że chodzili szóstkami. Obok mnie był schron, w którym byli cywile. Rzuciłem karabin do tego schronu i podniosłem ręce do góry. Niemcy podbiegli do mnie i zaczęli obmacywać. Miałem przy sobie ślubne zdjęcie w portfelu. No i Niemiec pokazuje mi, żebym wyciągnął ten portfel. Zobaczył te zdjęcie, wjął je i - przyjrzał się tylko - powiedział: Polen? - Ja - odpowiedziałem.

Niemcy wyglądali niezwykle bojowo. U każdego w łapie automat, parabellum za pasem, granaty wsadzone za cholewę butów. Jak popatrzeć na takiego to faktycznie to było wojsko, a nie jak ci sowieci, którzy wyglądali jak łachudry a nie wojsko. Torbę dadzą dla żołnierza i głodnego ganiają. Toż jak cofaliśmy się pod Smoleńsk, to dali takiej zupy "bałandy", już włożyłem ~~pkaszak~~ moździerz na plecy i przynosi po kawałeczku masła. Więc ja wziąłem to masło i ze złości rzuciłem nim o ziemię. A politruk stał obok. Spojrzał, jak rzucił się do mnie jak tygrys: Paczemu ty brosił? - A upało - starałem się zbagatelizować sprawę - kak raz nie budu ~~padnosić~~ padnimać. Politruk zmierzył mnie tylko wzrokiem i odszedł. Kto wie, czy mnie by i nie wywieźli, ale zaraz poszliśmy na ten Smoleńsk, do boju przez most.

Pamiętam, czy to było pod Smoleńskiem, czy wcześniej pod Kijowem, był taki ruski oficer, co bluźnił nie z tej ziemi na Boga,

cara i wsiechświatych. Niemcy chyba dostali cynk, że my w tym lasku stoimy i nadlecieli i zaczęli nas bombardować, a my jeszcze nie zdążyliśmy okopać się. Rzuciłem się pod jakiś nędzny krzak. Z drugiej jego strony próbował skryć się ten Ruski oficer. Tak leżę i nagle słyszę szept: Boh, chrani mienia - Niem ogę powie- dzieć, że ja byłem bohater, bo stracha miałem jak diabli, bo bom- by na głowę sypały się, ale taki śmiech mnie wziął, że nie mogłem wytrzymać.

No, ale dostałem się do tej niewoli. Jeden ze szwabów coś rap- tem zaczął mi pokazywać lufą pistoletu na bunkier. - Cholera wie czego on chce. Byłem w stu procentach przekonany, że każe mnie tam zejść, żeby mnie tam zastrzelić. Zszedłem więc do tego bun- kra po schodkach i głowę nieco schyliłem i czekam kiedy strzeli mi w plecy. Ale jak doszedłem do końca, słyszę, że nie strzela więc odwracam głowę a on pokazuje pistoletem na mój karabin, któ- ry wrzuciłem do tego bunkra. Podałem mu go. Najpierw sam chciał go rozbić, ale nie dał rady więc dał mi go. Obok stał słup, pod- szedłem do tego słupa, walnąłem karabinem i rzuciłem go na zie- mię. Potem wyprowadzili mnie na główną ulicę, gdzie było więzie- nie. Trzech szło z przodu, potem ja i na końcu trzech. Wybijali sztachety w płotach i tak wyszliśmy do tej głównej ulicy. Pod pło- tem więzienia leżeli rozstrzelani enkawudziści, tylko ich czapki błyszczały się na słońcu. Skojarzyłem sobie, że to pewnie wię- zienna ochrona leży postrzelana. Stanęliśmy przed tym więzieniem. Z bramy zaczęli wychodzić połapani dywersanci, których była bar- dzo dużo. Gdzie tylko było, najmniejsze nawet, zgrupowanie wojsk, to zaraz w nocy leciały w górę rakiety. Zaczęli się witać z tymi "moimi" Niemcami. Obejmowali się. Nagle z centrum nadjechała "doe- czka" z niemieckim kierowcą. Jeden z konwojujących mnie szwabów

podniósł rękę do góry i zatrzymał samochód. Chwilę rozmawiał z kierowcą i kiwnął na mnie ręką: Kom. i kazał mi z przodu na maskę włączyć. Sam też wsiadł i ruszyliśmy. Ci "moi" komandosi zostali się. Mieli na szyjach zielone apaszki jak kowboje, i mowy czarne na rękawach.

Myślę, że chyba nie mieli jeszcze doczynienia z Polakami, bo chyba by mnie rozwalili. Pamiętam, że jak nas do roboty pędzili na stację wagony rozładowywać, to z bunkra wyszło dwóch Ruskich chcieli poddać się do niewoli a Niemcy na miejscu ich rozstrzelali.

Przyjechaliśmy do sztabu. W oknach stali niemieccy pułkownicy. Było gorąco. Szofer wyszedł z wozu, powiedział do mnie: kom i prowadzi do sztabu. Zaprowadził mnie na górę. Zapukał do pokoju, ²¹ usłyszałem jakiś głos i weszliśmy do środka. Kierwoca zameldował się, ale cóż to było za meldowanie. To była poezja i siła i ~~siła~~ sprawność. Jak uderzył obcasami, to aż podskoczyłem. Za biurkiem siedział pułkownik albo major bo miał ple-rosyjskim z cione pagony. Odezwał się do mnie najczystszy moskiewskim akcentem: Skąd my przybyli na ten odcinek frontu? - Pomyślałem sobie błyskawicznie: skłamię, nie powiem prawdy, nie wiem przecie co mnie jeszcze czeka. Podałem mu jakiś inny kierunek. Z tych kilku słów Niemiec zorientował się, że ja nie Rosjanin i pyta się: Kakoj ty nacji? - Polak. - A dlaczego ty jesteś w sowieckim wojsku - odezwał się do mnie z kolei najczystszy polskim jakbym był w Warszawie. Proszę pana - nie wymieniam jego stopnia, żeby nie daj Boże nie zmniejszyć mu rangi - jestem z Białegostoku, ~~jestem~~ Polakiem. U nas jak przyszli sowieci, to brali mój rocznik do wojska, no i musiałem iść, bo jakbym nie poszedł to całą rodzinę na Sybir by wywieźli - Ja wiem - powiedział Niemiec i coś powiedział do kierowcy. Ten z kolei znpu

powiedział do mnie: kom - i wyszliśmy z pokoju. Niemiec prowadzi mnie za mur, za szkołę. Myślę: rozplaszczy mnie tam. Ale jak tylko wyszliśmy za ten mur widzę, że siedzi pod nim ze szczęściu czy siedmiu żołnierzy, kobieta w cywilu i mały chłopak, których pilnuje wartownik. Powiedział do mnie: setzen - no i usiadłem. Więzienie mieściło się w tej szkole. Na drugi dzień zobaczyłem z okna jak Niemcy pędzili kilka tysięcy ludzi ulicą i tych ludzi wpędzili na plac przed szkołą. Między cywilami zauważyłem jakieś dziwne mundury. Przyjrząłem się uważniej - to byli żołnierze polscy z 1939 r. To ja zaraz podszedłem do nich: Panowie, a co wy tu robicie? - A my Grodno broniliśmy. Jak nas wzięli do niewoli koło mostu to do więzienia posadzili - odpowiedział jeden z nich.

Na drugi dzień wszystkim cywilom wypisywali przepustki i wypuszczali ich na wolność. Żałowałem, że nie miałem cywilnego ubrania, bo już w domu bym był. Nas jednak trzymali dalej. Po zwolnieniu cywilów zostało się nas około 500 i przenieśli nas do koszar poza miastem. Trzymałem się polskich żołnierzy, bo dzięki temu mogłem przynajmniej z kimś po polsku porozmawiać. Po kilku dniach Smoleńsk zaczęła ostrzeliwać jakąś sowiecką jednostkę - może tą, która się spóźniła, gdy myśmy szli do natarcia - i u Niemców zrobił się ruch. Jeszcze przed chwilą był spokój, Niemcy opalali się, golili a tu już mętlik. Usłyszeliśmy karabiny maszynowe, znak, że sowiecka piechota musiała być już blisko. Na dworcu stał transport cystern. Niemcy zagnali nas na tą stację i kazali rozpychać te cysterny, żeby jedna od drugiej stała daleko. Myśmy je rozpychali a oni od razu zakładali jakieś kabłe pewnie minowali je, żeby w odpowiedniej chwili wysadzić je.

Jak pędzili nas jeszcze na tą stację, tylko sami sowieci szli, polskich żołnierzy nie brali

polskich żołnierzy nie brali, to przed sztabem - w centrum miasta - zatrzymali naszą kompanię i wyszedł do nas z tego sztabu jakiś wyższy oficer, major albo ktoś podobny, i w pyta się: No i jak wiebieta? Szeroka strona radnaja - zaczął śpiewać - mnoge w niej palej i riek - A ruskie ośmielili się i pytają się go: Gaspadin, kagda nas pustitie damej? - Niedziela, dwie, wajkna akonczytsia i pajdottie damej, paluczitie ziemlu i budietie rabotać.

A jak wracaliśmy z tej stacji to dwóch sowietów wylazło z jakiejś piwnicy, broń wyrzucili i podnieśli ręce a Niemiec, który nas prowadził tylko obrócił się na pięcie i nawet nie zdejmując peemu z ramienia, trzymając go przy boku, puścił po nich serię. Stali ode mnie dosłownie kilka metrów. Skórkowany wziąłby ich do szeregu - pomyślałem sobie. W tym czasie artyleria sowiecka zaczęła bić po naszych koszarach, bo przed nimi stała niemiecka artyleria, która również strzelała. W koszarach zrobiło się już "gorące". Sowietci zaczęli coraz gęściej strzelać. Żołnierze biegali po całym budynku w poszukiwaniu jakiegoś miejsca do ukrycia się. Wtedy jeden z nich, to był chyba oficer, który udawał szeregowca, krzyknął: Chłopaki! Nie biegajcie. Jak sądzono nam zginąć to zginie my. Stawajcie pod murami, między oknami - od razu było widać, że to był oficer. Tylko zdążyłem przejść z jednego końca korytarza na drugi i stanąć między oknami, gdy w koszarę uderzył chyba jakiś ciężki pocisk i to w to miejsce, gdzie ja właśnie byłem przed chwilą. Cała ta część gmachu zawaliła się. A na dole leżeli ranni. Widok był nie do opisania. Ręce, porywane, głowy potrzaskane, pełne krwi, jęki i krzyki. Presili niektórzy, żeby ich dobijać, to zwinęło się takim kawałkiem przecieradła rękę czy co innego, ale nie było czasu na pomaganie im

Chcieliśmy ucieść, ale na klatce schodowej stał z erkanem Niemiec i krzycał do nas: Les! I jak tu wybuchł ten pocisk, ta klatka zawałła się razem z tym Niemcem i zaczęliśmy wyskakiwać przez okna. z pierwszego piętra. Chłopaki wyskakiwali też z drugiego piętra i nikomu nie się nie stało. Razem ze mną był też Sawicki Pietrek, którego później Niemcy powiesili w 1943 r. w Białymstoku na Pieczurkach. Razem z nim powiesili też takiego Pleskacza, który razem ze mną uczył się w podstawowej szkole a trzeci to był wysiedlony spod Puszczy Białowieskiej i mieszkał na Pieczurkach. Też był fajny chłopak. Już żenety był.

Jak uciekłem z nieweli, jak już odgryzłem się, bo byłem bardzo wychudzony, zacząłem rozglądać się za jakąś pracą, akurat Niemcy zaczęli mówić, że kenkarty będą wydawać. Pracę musiałem więc znaleźć, bo groziło mi, że wezmą mnie za kupera i do Niemiec wywieżą. I na Warszawskiej właśnie spotkałem tego Pietrka Sawickiego. Lubilem go, a za co?.

Gdy wyskakiwaliśmy przez okno, wtedy w koszarach w Smoleńsku, to obok była kuchnia to on skoczył jeszcze do tej kuchni złapał pod pachę bułkę chleba, przekamał ją na pół i bezinteresownie dał mi tą połówkę. W biedzie poznaje się przyjaciela. Od tej pory staraliśmy trzymać się razem. Gdy wyskoczyliśmy z tych koszar to Niemcy wyprowadzili nas poza miasto, nad rzeczulkę, i tam nas pilnowali.

A tego Pietrka Sawickiego Niemcy powiesili na postrach, bo pracownicy tej fabryki Sokoła strasznie kradli. Musieli to robić bo musieli z czegoś żyć. Najwięcej kradli wełnę i farbę. Ja też w czasie okupacji byłem złodziejem. Takie były czasy. Kto chciał żyć, ten musiał kraść. A że Niemcy nic nie mogli zrobić, żeby zapobiec kradzieżom więc powiesili ich na postrach. Pietrek

podpadł za wódkę. Był pod gazem i zamiast iść do roboty to zaczął łązić po zakładzie a był taki jeden wredny majster i zapisał go. Drugi majster to był taki fajny, że nawet jego nauczyłem kraść.

Pietrka spotkałem po raz pierwszy w Białymstoku, po naszej ucieczce z rozbitych koszar w Smoleńsku, właśnie na Warszawskiej, gdy szukałem pracy. Gdzie pracujesz? - W farbiarni u Sokoła pracuję. - odpowiedział. Trzeba gdzieś się zaczepić - mówię. To przychodź do nas do roboty - mówi Pietrek. No i poszedłem. Niemiec przyjął mnie. Jeszcze przyglądał się mi zdziwiony, że Polak sam przyszedł do roboty. Nie powiedziałem, że jestem tkaczem - znałem się na tym z czasów sowieckiej okupacji, gdy bolszewicy zrobili kombinat, to ja przeszedłem w nim wszystkie stanowiska. Pracowałem i w tkalni, i w farbiarni i w przędzalni, tak, że na tym wszystkim znałem się - bo zabrały mnie na tkalnię a tam nie można było tak kraść, bo nie było co a na farbiarni to można było ukraść i farbę, i ufarbować jakieś łachy, czy sowieckie, czy niemieckie. Pierwszy tydzień przerobiłem i 13 kilo farby przyniosłem. To jeszcze nie rozkręciłem się. Już można było żyć. No i ten Pietrek jak łąził po zakładzie "na gazie" spotkał tego majstra. Ten gdy zauważył go złapał za rurkę i uderzył Pietrka po plecach. To ten chwycił za łopatę i gnał go aż do Białki na Konopnickiej. I oczywiście już trafił na specjalną listę.

Pleskacz podpadł chyba za to, że pracując na tkalni pobił jakąś część od maszyny, żeby nie robić i chyba któryś Polak albo Niemiec wyspał go. Ten trzeci natomiast został na wartowni zatrzymany jak wynosił z zakładu sztuczną watę. To dyrektor od razu chciał na gestapo podać go, ale dyrektorka, chociaż Niemka to porządna kobieta, nie pozwoliła mu na to, ale na listę już tra

i
fił. No i Niemcy postanowili powieścić kilku z tej listy na ~~postrach~~
postrach. Traf chciał, że wypadło na Pietrka, Plaskacza i tego
z Białowieży. To Pietrek powiedział jeszcze: Koleżanki i koledzy,
przyjdźcie na mój pogrzeb - i krzyknął: Niech żyje Polska! i wte-
dy wyrwali mu z pod nóg stołek. Zaczął kręcić się na tej pętli
to dwóch Niemców podeszło i chwycili go za ręce i nogi i przy-
trzymali, żeby prędzej wykończył się. Chowali ich Żydzi, których
sprowadzono chyba z getta i jeden z tych Żydów ocalał i po woj-
nie pokazał to miejsce, gdzie oni są pochowani. Zrobiono im po-
grzeb taki jakby była defilada. Pochowano ich na cmentarzu woj-
skowym na Zwierzyńcu. Jak ich wieszali, to ja byłem w domu po
nocnej zmianie i nic nie wiedziałem o tej egzekucji. Może i dobrze
się stało, bo bym mocno to przeżywał.

Następnego wieczora znowu poszedłem do pracy na trzecią zmianę
Położyliśmy się na wełnę i drzemamy. Gdzieś chyba koło 12-tej
w nocy dyrektor z dyrektorem wracali chyba z jakiegoś balu. Wo-
ził ich furman, którego znałem jeszcze sprzed wojny. Jak bramę
otworzyli, konie dęba stanęły. Dyrektorka tak się przelękała, że
kazała natychmiast rozebrać szubienicę, którą zabrano z miejsca
egzekucji i stała koło naszego warsztatu. Furman wszedł do na-
szego pomieszczenia, zerwaliśmy się więc prędko na równe nogi,
bo myśleliśmy, że to Niemiec, a my przecież drzemaliśmy zamiast
robić. A co pan, panie Konstanty, tu w nocy robi? - spytałem,
gdy poznałem, że to nie Niemiec. Chodźcie chłopaki, bo dyrektor
kazał szubienicę rozebrać. No i rozbieramy tą szubienicę, ale
chłopaki wpadli na pomysł, żeby ją schować, bo może jeszcze Niem-
ców będziemy na niej wieszać. To schowaliśmy ją na dachu. Inny
z kolei chłopak to schował pod podłogę beczkę po farbie, bo -
mówi - będziemy ich gotować w tej beczce. Takie nastawienie było
wśród ludzi.

Ale wróćmy do Smoleńska. Gdy Niemcy zaprowadzili nas nad rzeczkę, sowiecka artyleria wstrzelała się w nas. Pociski rozrywały się dosłownie wszędzie. Jeden z nich wybuchł dosłownie za moimi plecami. Pamiętałem opowiadanie ojca, że dwa razy w tym samym miejscu pocisk nie rozrywa się i czym prędzej skoczyłem do leja. Zaraz jednak nadleciała eskadra niemieckich bombowców i zaczęła okładać bombami to miejsce, skąd strzelali sowieci. Alles kaput - powiedział do nas z przekonaniem strażnik. Rzeczywiście, sowieci przestali strzelać. Wtedy Niemcy popędzili nas do drewnianej szkoły, która była niedaleko. Gdy biegliśmy przez pole odłamek ugodził w głowę jednego z polskich żołnierzy. Zginął na miejscu.

Zamknęli nas wszystkich w tej szkole. Pietrek zdjął buty i mówi: Będę spać. - Pietrek - mówię do niego - ty nakładaj te buty, bo ja czuję, czy my czasem stąd znów nie będziemy uciekać. Na wszelki wypadek przywiązaliśmy do kaloryfera szlauch pożarniczy, był na korytarzu, żeby w razie czego nie skakać przez okno, bo też byliśmy na piętrze. I rzeczywiście po jakimś czasie znowu artyleria zaczęła bić i szkoła zaczęła się palić. Znowu musieliśmy uciekać. Niemcy popędzili nas kilka kilometrów do kołchozu. W czasie drogi Pietrek mówi do mnie: Skoczę do przodu. Zobaczę, może tam jacyś Polacy są na czele kolumny. - I jak weszliśmy do tego kołchozu to tam stały dwie duże szopy, w których trzymano bydło i tam nas zamknięto. Pietrek, jakoż że był z przodu trafił do pierwszej szopy a ja do drugiej i tak my się rozłączyliśmy. Tutaj oddzielono od nas polskich żołnierzy. Nie wiem co się z nimi stało. Nas natomiast przewieźli do miejscowości Krasnax samochodami które na front amunicję wożą i wracają puste. Tutaj spędziliśmy noc. Dopiero w południe Niemcy przywieźli jakąś zdechłą krowę,

może była zabita. Kilku Polaków, chyba rzeźnicy, kroili mięso na małe kawałki i surowe dawali nam do jedzenia.

Potem zawieźli nas do Orszy. Tam trzymali nas w spalonym więzieniu. Wraz z niektórymi popadłem się do roboty. Mieliśmy na stacji odgruzowywać tory, wieża ciśnień była zerwana. No i zobaczyłem, że idzie Niemiec w białym fartuchu. Pomyślałem sobie, że to pewnie kuch~~ar~~ i podszedłem do niego. Kiwnął na mnie ręką, powiedział: Kom i wziął mnie, jeszcze jednego Polaka i Ruskiego do roboty. Wzięliśmy beczukę na kółkach i pojechaliśmy do domków za stacją nabrać wody dla Niemców. Gdy zamjechaliśmy do tych domków, to kobiety dawały nam kartofli, cebuli, którą chowaliśmy do toreb od masek przeciwgazowych. Kucharz przy tej studni gotował to dał nam trochę zupy.

Gdy wróciliśmy na stację, to na peronie, pod parkanem, leżał niemiecki oficer, coś pisał i opalał się. Obok niego leżała kupa chleba. Poprosiliśmy więc naszego kucharza, żeby nam dał trochę tego chleba. "Nasz" Niemiec zwrócił się więc do tego oficera i mówi Zwei man Polen, ein Rus - to zrozumiałem. Pytał się go, czy może dać nam tego chleba za robotę. Oficer przyjrzał się nam i kiwnął głową, że można. To dostałem bułkę chleba - nieduże były - i zaraz ją zjadłem i popikłem jeszcze wodą.

Orsza była zniszczona całkowicie. Wszystkie magazyny, w których stały singerowskie maszyny, domy to sterczały tylko kominy. Jedyne całe domy mieściły żandarmerię niemiecką. Most na Berezynie był zwalony tak dokładnie, że woda górą szła. Z tej Orszy samochodami przewieźli nas do Borysowa. Tam zaprowadzili nas do pobliskiego lasu, gdzie były magazyny po sowieckich czołgach. Niemcy przywozili tam części ~~zamienniki~~ zapasowe do swoich samochodów, bo do frontu było stąd bliżej i kazali nam ustawiać je. To jak cały

dzień robiliśmy, to dali po małym sucharze. Był u nas taki Żyd Orkan - z Jurowieckiej ulicy, tam gdzie teraz ~~stadion~~ plac targowy. Wtedy stał tam stary dom i tam mieszkał jego ojciec, który był krawcem. I Żyd jak to Żyd zaraz szuka lżejszej roboty. Zgłosił się do Niemców na tłumacza. Nie laz by im w oczy, a tak, nadzedł jeden Niemiec i poznał: Jude? - spytał i zabrał go od nas. Co z nim się stało, to nie wiadomo. Chłopaki tylko dziwili się, po co on pchał się na tego tłumacza, robiłby razem z nami.

Potem z Borysowa popędzili nas do Mińska. Przeszło 100 km zrobiliśmy we dwa dni. Kto nie dał już rady to na końcu kolumny szedł Niemiec i strzelał do takiego a potem kazał ściągać go do rowu. W mijanych wsiach kobiety wносиły przed domy mleko w butelkach, chleb kładli z przodu, bo Niemcy nie pozwalali się zbliżać do kolumny. Inny Niemiec to kopał nogą te butelki, żebyśmy tylko nie napili się mleka. Już podchodziliśmy pod sam Mińsk, widać było zabudowania, gdy nagle pojawiła się kolumna samochodów, które wolno - bo droga była zajęta - jechały z kierunku Rosji. Przyjrzałem się dokładniej i poznałem pod plandekami naszych, polskich żołnierzy, z którymi rozstaliśmy się w Smoleńsku. Gwizdnąłem do nich, wtedy jeden z nich rzucił mi całą trobę sucharów. Ruskie zaraz zaczęli mówić jeden do drugiego: Wot smatri, kak polaczki adzin drugamu pamagajut.*

W Mińsku zamknęli nas w carskich jeszcze koszarach, które były bardzo podobne do koszar 42. pp w Białymstoku. Tu siedziałem pół miesiąca. Czułem się tu niemal jak u siebie, tak były podobne do naszych koszar, ale jedzenie to było tragiczne. Ile razy widzę jak żona przygotowuje krochmal z mąki do krochmalenia bielizny, to było może parę ziarenkek pęcaku, który został się jeszcze pewnie z czasów sowieckich i z tego robili taką "burlachę

bez soli

bez soli.

Któregoś razu podzielili nas na narodowości. Każdy miał na plecach i z przodu wymalowane litery. Polacy - P, Rosjanie - US, Ukraińcy - U a Azjaci - A. Każda narodowość była w osobnym baraku. Naszymi sąsiadami byli Rosjanie. Oddzielała nas alejka, której jednak nie było wolno przekraczać. Postanowiłem jednak to zrobić, żeby dostać jeszcze jedną porcję tej "zupy". Odwróciłem swoją kurtkę na drugą stronę i wymalowałem na plecach i z przodu litery US. Przeskoczyłem alejkę i poszedłem do stołówki razem z Rosjanami. Dostałem tą drugą porcję i wszystko ze mnie wyrwało. Taki to był przysmak. Po to się narażałem, żeby taką lurę jeść?. Ale to nie był jeszcze koniec wydarzeń tego dnia. Musiałem przecież jeszcze wrócić do swego baraku. Gdy wchodziłem do baraku zauważył to wartownik i krzyknął: Halt!. Czym prędzej zamknąłem drzwi za sobą, wpadłem do środka z okrzykiem na ustach: Boże ratuj! i wyleciałem drugimi drzwiami, by przeskoczyć alejkę i skryć się wśród Rosjan. Kurtkę ~~prz~~ wywróciłem na "właściwą" stronę i usiadłem wśród sowietów. Szwab wyleciał na środkek placu z pianą na ustach. Byłby pewnie mnie zabił. Pomyślałem sobie: teraz nie będę przebiegał przez alejkę. Zrobię to ~~gdy~~ gdy zmieni się warta. Ten drugi może nie będzie wiedział. I rzeczywiście, przy drugim szwabie nie miałem już żadnych kłopotów i znalazłem się wśród Polaków.

Któregoś dnia dowiedziałem się - zawsze kogoś wysyłano na "razwiedkę" pod bramę - że będzie przygotowywany transport ale tylko ruskich. Mówię więc do chłopaków: Malujcie, chłopcy, te bluzy, pójdziem z sowietami. Bliżej Polski zawiozą, to może będzie lepiej uciec. Nikt jednak nie ~~chciał~~ chciał iść. Tylko mnie coś tknęło i podałem się za Rosjanina. I miałem rację. Chłopaki,

którzy zostali, nie powracali.

~~Wysiedliśmy xxxxxxxxxxxxxxx Suchożebry koło Siedlec~~ Do Brześcia jechaliśmy w odkrytych wagonach. Tam przesiedliśmy się do krytych towarowych. W Brześciu nasze wagony stały prawie pod mostem, więc ludzie, którzy przechodzili po moście rzucali nam chleb. Jedna bułka chleba odbiła się od krawędzi wagonu i spadła na ziemię. Jeden Rosjanin zeskoczył więc z wagonu, żeby podnieść ten chleb a Niemiec wziął i go zastrzelił. Po dwóch dniach od wyjazdu z Mińska wysiedliśmy na stacji Suchożebry koło Siedlec. Przez szpary w deskach wagonu widziałem jak ludzie nieśli snopy zboża do kościoła, żeby je poświęcić. Musiało to więc być Matki Boskiej Zielnej - 15 sierpnia.

Gdy wyładowali nas na stacyjce zobaczyłem kolejarza w polskiej czapce, który stał koło studni i nabierał wody. Podeszedłem do niego ostrożnie i pytam się: Panie, co tu jest, że nas Niemcy Przywieźli? - Jak tu popadłeś, to przeżegnaj się ze światem - - odpowiedział kolejarz. Boże, co tu jest? - przestraszyłem się. Niemcy zebrali nas do kupy i popędzili do przodu. Oczom naszym ukazała się ogromna brama. Ogrodzenie okalało puste pole. To była ogromna przestrzeń. W środku były zwały trupów. Usiadłem i zapłakałem nad swoim losem: Po co ja zabrałem się z nimi. & Trzeba było mnie zostać razem ze swoimi. - Myślałem sobie całkowicie załamany.

Nie było żadnych baraków. Tylko puste pole. Żeby skryć się od wiatru i deszczu to zaczęliśmy kopać rękami i kijkami, bo narzędzi przecież nie mieliśmy, jak w ziemi. Jak zrobiło się zimno to kopaliśmy nory w ziemi. Kładliśmy się po czterech i przykrywaliśmy się jednym płaszczem. Potem włączaliśmy w te nory jak króliki. Tylko naciągało się na uszy furażerkę, żeby piach

się nie sypał do uszu. Do rana sztywne nogi się robiły to jeden do drugiego wołał: Wyłaż bo zastygniesz.

W tym obozie zebrało się nas Polaków chyba ze 20-tu i trzymaliśmy się razem. To rano, jak wstawaliśmy, to dreptaliśmy w miejscu i czuło się jak ~~krew~~ zaczynała krążyć w nogach. Cały czas głód. Za jedzenie na cały dzień służyła ociupinka chleba i sowiecki dekielek /polskie i niemieckie to były woększe/ bałandy, to była właściwie sama woda, było tego nie więcej niż szklanka. I patrzę, że po miesiącu palce rąk już wyciągnęły się, patrzę na ⁿ inych i widzę, że tylko skóra i kości. Nasze rozmowy cały czas dotyczyły jedzenia. Jeden mówi: O ~~żeby~~ tak jak to ^{to} nasi rodzice karmili świnie, to tego by się zjadło. Inny mówi: ~~Chcieba byxxxięxxzjadka~~ Aleby żeby tak chleba choć przed śmiercią zjeść do syta i już by umierali - O niczym innym już nie rozmawialiśmy. Byliśmy już całkowicie zobojętniali na wszystko. Oczy u wszystkich były mętne. Byliśmy chodzącymi trupami.

Jednego dnia do obozu przyprowadzono cywila. W obozie było może ze sto tysięcy ludzi i każdy pcha się, żeby zobaczyć co to za cywil. Ja też się starałem dopchać do niego. Okazało się, że to Ruski, który uciekł z niewoli czy z transportu i szedł przez wioskę, w której stali Niemcy. Dokumentów nie miał i zatrzymali go. To jeszcze dobrze, że nie zastrzelili na miejscu. No i Ruskie pytają się go: No i szto ty gawarisz? Udzi rat ili niet. Palaki to idut z Giermańcami. - Nieprawilno. Palaki idut protiv Giermańcam. Oni mnie kuszać dawali i ~~wadzioży~~ dawali. No i jak on to powiedział, to następnego dnia ci zdrowsi, którzy najpóźniej przybyli rzucili się do szturm na bramę. Przez kilk~~ę~~ minut była cisza. Strażnik, który stał z karabinem przy bramie uciekł. Dopiero po kilku minutach otworzoło ogień z "bocianów". NO to na-

tychmiast w ~~branie~~ utworzył się wał trupów wysokości kilkunastu metrów, a Rosjanie po prostu nadal szli i kładli się pokotem w bramie. Więc ja zawróciłem od bramy i poszedłem powolutku, krok za krokiem - bo już tylko tak potrafiłem chodzić - kilka metrów na minutę i poszedłem do takiej szopy, w której był chleb. Kilku Rosjan już tam buszowało. Chwyciłem pod pachę dwa bochenki chleba, to jeden mi wyrwali. Kilka minut minęło i po tej budzie już zaczęli strzelać. Bunt został uśmierzony.

Następnego dnia przyjechali do obozu jacyś wyżsi oficerowie niemieccy. Komisja. Pochodzili, popatrzyli i pojechali. Przyjechali chłopci z wioski na drabiniastych wozach i zaczęliśmy ładować na nie trupy. Byłem taki słaby, że padałem na te trupy, a Niemiec jeszcze pałą walił po plecach więc musiałem robić. Chłopci to byli bardzo wystraszeni, bo nigdy jeszcze nie widzieli takiej ilości trupów. My to już byliśmy przyzwyczajeni do tej śmierci. Trupy te rozbieraliśmy do naga. Wpadłem na pomysł i mówię do chłopca: Ja się rozbiorę i włożę na te trupy - a chłop mówi: Panie tam w lesie jeszcze strzelają - ale ja myślę, że on się bał. No i pochowaliśmy te trupy. ~~Przez kilka dni~~ przyszła kompania Niemców z karabinami, ustawili nas w rząd i wybierają, ale nie tak jak zwykle do roboty odliczają po kolei: eins, zwei, drei... tylko wybierają najchudszych. ~~Pewnie~~. Ja dopiero ~~na~~ trzeciego dnia dostałem się do transportu. Wszyscy byli zadowoleni, bo myśleli, że może wybierają do pracy na wsi. Nikt nie zdawał sobie sprawy, że to jest transport do pieca, bo nikt jeszcze nie wiedział o takich rzeczach.

Gdy zaprowadzili nas na stację okazało się, że nie podstawili wagonów więc zaprowadzili nas do stojącego obok brezentowego namiotu. Tam było pełno trocin na podłodze. Warstwa była gruba.

Wszyscy byli zadowoleni: Ale ciepło, ale charaszo - mówili, bo zimno było. Pokładaliśmy się i spaliśmy do następnego dnia. ~~Podst~~ Podstawili wagony i zaczęliśmy się ładować. Byłem ~~ostatni~~ ^{ostatni} ~~pierwszy~~, który wchodził do ~~kołajnego~~ ~~wagonu~~, więc Rosjanin, który ^{za mną} był ~~przede~~ mną chciał się ze mną zamienić, żebym ja wszedł do następnego wagonu. Ale ja, nie wiem czy to już los taki był mnie sądzony - Pan Bóg tak chciał, nie chciałem się z nim zamienić. Gdybym to zrobił to może bym nie uciekł. Machnąłem tylko ręką i poszedłem do tego wagonu co mnie przydzielili. Siedziałem przy samych dniach.

W obozie tym, koło wsi Suchożebry, ze 20-tu Polaków to umarł tylko jeden. Byłem tam od połowy sierpnia do ~~kon~~ połowy września i w ciągu miesiąca o mało nie umarłem z głodu.

I gdy tak jechałem w tym wagonie, zaczął się już robić mrok, poczułem, że coś mnie bierze za rękę i mówi: Idź do okna. I dlatego ja wierzę w Boga, bo doświadczyłem na swojej skórze cuda. Gdyby tego nie było może bym się i załamał, ale miałem widoczne znaki, że jestem pod opieką boską. Zacząłem więc przepychać się do tego okna. Wagon był nabity tak, że musiałem deptać się po siedzących, którzy rugali mnie od ostatnich: ty takoj, kuda ty?. Nie zwracałem jednak na to uwagi i jakoś dotarłem do tego okna. Jeden z tych ruskich stał przy nim a ja byłem drugi. Pytam się go Szto ty dumajesz? - Ja dumaju kak by udzirać - odpowiedział. - Ja toże dumaju, kak udzirać - powiedziałem. Kilku, którzy siedzieli obok nas i usłyszeli naszą rozmowę wstali i przyłączyli się do nas. Zaczęliśmy się mocować z oknem zabitym deskami i okręconym drutem kolczastym. Okienko było nieduże, prostokątne, ale można było przez nie przeleźć. Rękami jednak nie daliśmy rady. Mówię więc do nich: Rebiata, chodźcie ^z staniemy kupą, jednego wsadzimy na karki i może nogami odbije. - I tak zrobiliśmy. Jednego wsadzi

liśmy na ramiona i nogami wybił to okienko. Może i niewolnicy przybijali te deski, bo nie były za mocno przybite. Gdy tylko zaczęliśmy stukać w to okienko, to w wagonie rozległy się głosy: Szto wy dziekajecie?!!! Nas Giermańcy postrielajut - ale że większość chciała uciekać zaraz ich uciszyli: Małczy! Bo udusim kak sabaku!

Pierwszy, który stał przy okienku, został przez nas podniesiony i wysadzamy go głową. Niecharaszo. Dawajcie nazad - krzyczy do nas. Nogami trzeba. - noż to z powrotem wyciągamy go. Podszadziliśmy go nogami do przodu. Wylazł już na zewnątrz i wisi na rękach. Boi się skakać, bo pociąg pędzi i nic nie widać. Jest już przecież noc. Więc ruscy zaczęli uderzać pięściami po jego rękach i krzyczeć: Brasajsia, bo żałko wremia. - I Rosjanin powiedział tylko: Chuże nie budziet kak jest - i poleciał. Jak tam z nim było to tylko Pan Bóg wie. No i mnie już biorą za kufer i wysadzają nogami do przodu. W tym momencie przypomniało mi się, że gdy jako chłopaka czepiałem się razem z kolegami na wagonach wąskotorówki to na rogu wagonu powinna być schódka, która służyła dla kolejarzy, a okienko było niedaleko rogu wagonu. Więc chwyciłem się rękami za jego krawędź i prawą nogą wymacałem poręcz. Pomalutku, jedną ręką złapałem się za poręcz i puściłem się. Okazało się że tam jest nie tylko schodki ale i budka hamulcowego. Wylazłem na te schodki, ~~podciągnąłem się do góry~~ podszedłem do góry i krzyknąłem: Riebiata! Zdies stupieńki jest. Wyłażcie!. - powiedziałem to i ~~z~~ zszedłem na dolny stopień i patrzę jak tu skakać. Ale nic nie widać. Całkowita ciemność. Skakać, nie skakać, boję się, namyślam się. Raptem pociąg zaczął hamować. wychyliłem głowę i widzę, że zbliżają się światła stacji. O trzeba skakać, wola boska - pomyślałem sobie. Przeżegnałem się i ~~puściłem się~~ skoczy-

łem w ciemność. Zaczepiłem lewą nogą o druty, które szły od sygnалу i przez głowę poleciałem w odkos. Zrobiłem ze trzy kozły. i straciłem przytomność. Obudziłem się nad ranem, około 5-tej. Było już widno. Rozejrzałem się dookoła i myślę: Gdzie ja jestem? Czułem się jak po narkozie. Gdy zobaczyłem las przypomniałem sobie, że uciekłem. Postanowiłem iść do lasu. Lasek był nieduży, koło Miłosnej pod Warszawą.

Idę tak i idę i doszedłem do skraju. Przez drzewa zobaczyłem piękne wille. Słychać było głosy śpiewających Niemców, którzy rano wstali. Cofnąłem się więc z powrotem do lasu. Przeszedłem tory i ~~przeszedłem~~ znowu w las. Póki ja przelazłem te tory, a przecież szedłem bardzo powoli, kilkanaście kroków na minutę, to Niemcy już zdążyli przyjść na strzelnicę i zaczęli ostre strzelanie. Więc ja z powrotem cofam się. Zobaczyłem niedaleko stąd budkę zwrotniczego. Pomyślałem więc, że pójdę do niego ~~xxxxx~~. Do budki podchodziłem krzakami. W tym momencie kolejarz wyszedł na zewnątrz, żeby wysypać popiół z ~~popielniczką~~ z piecyka chyba. Gdy on się nachylił ja w tym momencie zawołałem do niego: Panie? a on: Was? - i jeszcze się nie odchylił. Więc ja znowu w krzaki dałem susa. No czy to nie był kolejny cud. Wcześniej, to jeszcze przecież jak ja dałem radę utrzymać się na rękach, gdy zwisałem z okna wagonu. Przecież ja byłem straszliwie słaby. To też była opieka boska.

Uciekłem w te krzaki i myślę: Boże, z trzech stron nie ma wyjścia - poszedłem więc w ~~xxxxxxx~~ ^{czwartą} stronę. Po jakimś czasie zauważyłem jak mężczyzna z koszykiem zbiera zielonki. Była z nim chyba jego rodzina. Podeszedłem do nich: Dzień dobry. Proszę państwa, jeśli wy Polacy, ratujcie mnie jeśli w Boga wierzycie. Uciekłem z transportu. Tu strzelają, tu śpiewają. Nie mogę się wydostać.

Pełno Niemców dookoła. - Dzięki Bogu, że pan na nas trafił - odpowiedziała kobieta. Kazali mi tu zostać a sami poszli do domu po ubranie dla mnie. Zostałem sam. Bałem się, żeby przypadkiem Niemców nie sprowadzili, ale nie. Patrzę, że idzie ten chłop i niesie ubranie. Naciągnąłem je na te ruskie łachy, żeby wszy go nie oblażyły, bo wszy trzymają się zawsze ciepłego ciała a nie zimnego. On skręcił mój wojskowy płaszcz i włożył sobie pod pachę. Okazało się, że niedaleko mieszkał. Weszliśmy do mieszkania. Patrzę a jego żona już kocioł wody gotuje. Gdy się nagrzała jego żona poszła do sąsiadki a chłop przyniósł balię nalał do niej wody no i dawaj mnie myć. Potem ogoliłem się. Trochę też mnie podstrzygł tak po chłopsku. Zaraz przyszła gospodyni i mówi, że obława w lesie i że złapali trzech sowietów i zastrzelili ich. Pewnie ten szwab z tej budki zadzwonił na gestapo czy gdzie. Potem dowiedziałem się dlaczego Niemcy stali na tej linii kolejowej, w tej budce. Bo tym szlakiem najwięcej wozili amunicji i wojska. To była wojskowa linia i obsadzona była przez Niemców. Kobieta, gdy mnie ujrzała już czystego powiedziała, że gdyby sama była w lesie to by uciekła, bo wyglądałem jak diabeł. Byłem cały w błocie i w smole.

Pomyślałem sobie, że ze względu na obławę to może tu być niebezpiecznie i mówię do gospodarza: Panie, tu obława, ~~możeby~~ nie ma tu się gdzie schować u pana. Może mnie pan pokaże, kiędy tu wyjść, żeby na wieś jaką trafić. Zawsze stodoła jest, ajkies sianno, schować się można. Wiedzorem tego samego dnia pokazał mi więc drogę do najbliższej wioski. Nazywała się Zyrawka. Musiałem tylko przejść przez pole, gdzie Niemcy mieli ćwiczenia. Stały tam kozły żelazne. Gdy dotarłem do wioski zobaczyłem, że przy pierwszym domu stoi mężczyzna. Mówię więc do niego: Ja za Warszawą pracowałem, zachorowałem i teraz do Białegostoku chcę wrócić, bo

ja jestem z Białegostoku. Może mnie pan przenocuje? ²¹ Facet spoj-
rzał na mnie spode łba i gromkim głosem odpowiedział: Mów, że
z niewoli uciekłeś. - Sposób w jaki to powiedziały spowodował,
że aż ciarki mi ze strachu po plecach przeszły. Byłem już jednak
tak wycieńczony i zmęczony, że było mi już wszystko jedno i przy-
taknąłem: A wie pan, że ja już nie wiem co mam mówić. - Nie bój
się, tu tobie włos z głowy nie spadnie - uspokoił mnie nieznajom-
y. To był akowiec. I oni przekazywali mnie sobie z ręki do ręki
jak list polecony, bo to była cała siatka. Naprzód już wiedzia-
łem gdzie miałem zajść.

Dostałem kontakt do następnej wsi i ruszyłem drogą przez las.
Szedłem jednak bardzo powoli, nie tylko dlatego, że byłem skraj-
nie wycieńczony głodem ale miałem także ~~dyz~~ dżynterię. Co kilka mi-
nut schodziłem więc do rowu za potrzebą. Z przodu stanął na dro-
dze rowerzysta i gdy doszedłem do niego pyta się mnie: Panie, co
pan tak schodzi do rowu, to z powrotem? - mówię więc jak jest.
Stoimy tak i rozmawiamy a tu nadszedł chłop na furze. O, poczekaj
pan, ja zaraz porozmawiam z tym wieśniakiem - rzucił i pod-
szedł do niego. Rzeczywiście po chwili zawołał mnie: Siadaj pan
na furę. O człowiek jedzie do Łochowa do kowala wiezie pług to
podwiezie pana parę kilometrów ~~z~~. Podziękowałem rowerzyscie i ru-
szyliśmy. Przed Łochowem, na skrzyżowaniu dróg stała żandarmeria.
Chłop jednak był odważny: Paanie, pusta fura, pług leży, oni nas
nie zatrzymają - powiedział do mnie - i jedziemy prosto na nich.
Szwaby popatrzyli na nas i nie zatrzymali. Wjechaliśmy do mias-
teczka i koło kowala mówię: Dziękuję panu bardzo - i poszedłem
dalej pieszo. Zobaczyłem domek i pomyślałem sobie: Wejdę i popro-
szę ~~mi~~ coś się napić. W środku zobaczyłem mężczyznę w polskim mun-
durze pochłapanym farbą i mówię do niego: Proszę pana może da ~~mi~~

mi pan coś napić, bo wie pan, uciekłem z niewoli i jestem ledwie żywy - a ten na to położył palec na ustach i pokazuje mi na ścianie wiszące dwa chełmy niemieckie. Zaprowadził mnie na drugą stronę domu, gdzie miał warsztat - był stolerzem - i tam poczęstował mnie kawą, chlebem z masłem i paczkę papierosów dał mi na drogę. Gdy jadłem w tym czasie chłop przywiózł mu drzewo. O, dobrze - zauważył gospodarz i wyskoczył do niego. Gość był jak się okazało aż spod Buga. Zgodził się mnie zabrać. No i zajechaliliśmy do wioski nad samym Bugiem. Na podwórzu jednej z chałup jakiś gość rąbał drzewo. O, idź tam - pokazał na niego woźnica - to twój kolega. Zdziwiony przyjrzałem mu się. Okazało się, że to ~~janisz~~ sowiet zbiegły z niewoli. Było ich w tej wiosce chyba ze siedmiu. Byli oczywiście w cywilu.

Przenocowałem w tej wsi. Ludzie mówią mi: Nie trzymaj się żadnej grupy, bo najlepiej sam idź. To byłoby podejrzane tak w kilka osób. Gospodyni poczęstowała mnie kaszą. Zjadłem jej jednak za dużo i zaczęły na mnie występować poty. To było coś strasznego. Nie mogłem tyle zjeść. Jakoś jednak mi to przeszło. ~~Rano~~ Wieczorem odprowadziła mnie nad rzekę i chyba chciała zaczekać, żeby zobaczyć jak mi poszło. Było tu kilka łódek, ale bałem się je wziąć, żeby ktoś przypadkiem alarmu nie narobił, że mu łódkę ukradli. Powiedziałem jej o moich obawach a ona na to: To siedź pan, rybacy zaraz przyjdą, to oni pana przewziozą, jak pan poprosi. - I tak było. Facet przypłynął łódką, więc podszedłem do niego i mówię: Panie, może przerzuci mnie pan przez rzekę, bo nie chcę brać łódki, żeby kto nie pomyślał, że mu ukradłem - To siadaj pan - powiedział do mnie. Wywiózł mnie na ~~środek~~ rzece, zatrzymał łódkę i pyta się mnie jakiej ja narodowości jestem. - Polak, katolik - ~~odpowiedziałem zdziwiony~~ zdziwiłem się - Dla-

czego mnie pan tak legitymuje? - spytałem. Bo żebyś pan był Ukraińcem, to od razu ja bym pana utopił. - Dlaczego pan taki zły na nich?. - Bo w 1939 r. byłem na froncie i mnie mało tam nie zabili. Już rozebrali do kałeson. Jestem więc na nich zły. - No i przewiózł mnie na drugi brzeg już bez dalszych kłopotów. Dał mi też konatakt na znajomego swego we wsi po drugiej stronie granicy która znajdowała się na prawym brzegu Bugu. Gdy przeszedłem pas w lasku oraz dwa płoty zasieków doszedłem do Starego Kaczyna za Wysokiem Mazowieckiem i tam trafiłem na gospodarza, którego syn też jeszcze nie wrócił z wojska. Zaszedłem tam też po to by się napić. Ojciec, matka i ich córka popatrzyli na mnie, posłuchali i zaczęli płakać. Ich syn pewnie im się od razu przypomniał. Gdy ~~ujechał~~ gospodarz posłuchał mnie powiedział: Ja pana nie puszcę. Posiedzisz pan tu to odgryziesz się pan trochę, żeby pan siły trochę nabrał. - Po- byłem u niego z tydzień. Wieczorami przychodzili do mnie chłopci, żeby dowiedzieć się co w świecie słyhać. Po tygodniu, w niedzielę, powiedział: No to chyba w poniedziałek ja ~~zaxax~~ zaprzęgnę konia i pojedziemy na Białystok. I tak zrobił. Na furę włożył jeszcze ze trzy worki ziemniaków i woreczek grochu. Dojechaliśmy do Bałut i stanęliśmy przed zamkniętym przejazdem czekając aż przejedzie pociąg. w tym czasie podszedł do fury kolejarz w polskiej czapce i chce groch zabrać. Panie, mnie ten człowiek za robotę nim zapłacił - mówię do niego. To chodź na stację - odezwał się do mnie. Poszliśmy tam i zapłacił mi kilka marek, ale to było o wiele za mało. Pewnie to był jakiś volksdeutsch. Na dodatek przyszło dwóch czarnych kolejowych policjantów. I chłop już oniemiał i ja byłem przerażony. żeby chociaż oni się nie przyczepili - pomyślałem sobie, ale ten groch wziął, ~~szlaban~~ zaraz podnieśli i ruszyliśmy w drogę. A dzięki Panu Bogu, że się nie przyczepili -

westchnął woźnica. Do domu pojechaliśmy nie koło koszar 10. p.uł. bo tam był obóz ale pojechaliśmy przez Nowe Miasto. Przemknęliśmy między domkami. Tam też najedliśmy się strachu, bo Niemiec wyskoczył z jakiegoś domu i pędzi do nas. A on przyleciał i przeszukał furę po czym wrócił zawiedziony. Musi szukał masła, jak mieszkał u jakiej baby. Potem skręciliśmy w Zwierzyniecką i Świętojańską, Warszawską - tu skręciliśmy na Monopolową, bo Warszawska obstawiona była przez Niemców - pojechaliśmy więc najpierw do moich rodziców, a nie do żony, która mieszkała na Skorupach. Na ul. Wiktorii stała przy swoim domu pani Mogilewska: O, pan Muklewicz - zawołała do mnie. W domu zjawiłem się dokładnie 7 października.

Gdy wszedłem do środka ojciec siedział przy stole i czytał książkę, bo zawsze lubił czytać. Jak mnie zobaczył to mu ta książka wypadła z rąk. Brat zaraz poleciał przez pole na skróty na Skorupy, żeby powiedzieć żonie, że wróciłem. Matka przyszła z mlekiem. Wszyscy byli zadowoleni.

No i przez zimę zacząłem robić w fabryce Sokoła i skontaktowałem się z Sieradzkim z Wygody. I on zaproponował mi wstąpienie do organizacji. Zgodziłem się. I na ul. Młodej 2 składałem przysięgę. Był ten Sieradzki Władysław i Bida Bielański - dowódca Bojar i jeszcze chyba kilku. Razem było ich 5-ciu. Wszyscy elegancko ubrani. Na ścianie wisiał obraz Matki Boskiej. Przybrałem pseudonim "Swóerk". Potem, w partyzantce miałem pseudonim "Czech" a w WiN-nie ponownie przeszedłem na poprzedni pseudonim. Przysięgę składałem wczesną wiosną 1942 r., musiałem po prostu trochę się odgryźć, żeby ciało narosło bo po obozie byłem taki na pół sprawny. Wstąpiłem do ZWZ może i z tego względu, że mój ojciec był patriotą. Starszy brat w 1937 r. poszedł do wojska i służył w Grodnie w przeciwlotniczej artylerii potem na froncie walczył.

W tej konspiracji to byłem łącznikiem na Bojarach. Jako, że mieszkalem na Nowowarszawskiej to mnie chcieli przenieść do tamtejszego plutonu, bo każdy powinien być u siebie, ale ja nie chciałem. To ciągnęło się i na szczęście już nie zdążyli mnie przenieść na moje szczęście, bo na Nowowarszawskiej był Karwowski który zasypał cały pluton ze Skorup. To jeden Guzowski ocalał, który u teścia mego ukrywał się w stodole i tego dnia nie był w domu. Aresztowali wtedy m.in. Skowrońską razem z dzieckiem - była u mnie na weselu druchną. Razem z 10-ciu ludzi. Jeden chłopak to za ustęp schował się, gdy rodziców zabrali. To ich wszystkich powywozili do Grabówki, gdzie ich postrzelali. Po wojnie tego Karwowskiego rozpoznano w Szczecinie to dostał tylko 10 lat. Pseudonim miał "AS". Mieszkał na Nowowarszawskiej na przeciwko szklarza. Miałem szczęście, że mnie nie zdążyli przenieść, bo i ja bym głowę położył.

Któregoś razu miałem spotkać się z akowcami u matki. Oni chcieli broń schować. Mataka była już wtedy wdową ale była bojowa. Mieszkała z córką, czyli moją siostrą. Ojciec zmarł w 1943 r. ~~nikąd nikogo nie widziałem~~ To był prawdziwy patriota. W 1939 r. to mówił: Jedziem na Polesie i tam wojsko będziemy tworzyć. Nigdy nic złego na ^{Polskę} ~~xxx~~ nie mówił, chociaż czasami i bezrobotny był ale nigdy nie narzekał. Mój brat to nie należał do organizacji. Handlem się zajmował ale to jego wywieźli na Sybir a nie mnie. Jego żona jak przyleciała do nas po jego aresztowaniu, to mówiła do mojej żony: ~~W~~ Mego wzięli chyba przez pomyłkę, on nigdzie nie należał, to twój należał i jego chyba chcieli wziąć. - Ale znalazł się taki jeden wredny chachoł, który nagadał na niego. A u Ruskich taka moda - jak aresztują to nawet jak niewinny trzy lata musisz odsiedzieć, bo NKWD nikąd nie myli się, jak wzięło, zna-

czy się winowat. Trzymali go na Słonimskiej pod 15-tym. Tam stało NKWD. Poszedłem tam brata szukać. Napisałem podanie po polsku i po rusku, że w wojsku i na froncie był i myślałem, że może co pomogę bratu. Poszedłem tam i dałem dla sowieta - wyglądał na Żyda - moje podania. Przeczytał je i ponownie wyszedł na korytarz i bezczelnie zaczął przyglądać mi się od góry do dołu i to natarczywie. Skórkowany, czego ty tak mnie mierzysz - pomyślałem sobie. Niet, u nas takowo niet - cijenko wycedził przez zęby jak Judasz. Potem, gdy brat wrócił spytałem się go gdzie ~~był~~ on siedział. Tu, na Słonimskiej - odpowiedział zdziwiony. Wyszedłem więc stamtąd i poszedłem na Ogrodową, gdzie też było NKWD. Wartownik gdzieś odszedł więc ja już na schodkach byłem, gdy zatrzymał mnie okrzykiem: Kuda tam! - Naczalniku chacziu - odpowiedziałem. Puścił mnie. Naczelnik wyszedł do mnie. Był to wysoki i przystojny gość. Mówię więc do niego: Tawariszcz lejtienant, ja w waszej armii był, na froncie był, iz plena udrał itd. Brata majewo zadierżali. Ja by chatieł, szto by razsmatrieli etu sprawu. - Niet, u nas takowo niet - odpowiedział mi eleganckim, moskiewskim akcentem. - Spasiba, daswidania - i poszedłem na UB na Branickiego. Tu na warcie stał facet, który mieszkał na Skorupskiej i za okupacji był dyżurnym ruchu na ~~stacji~~ dworcu towarowym. Znał mnie więc z widzenia, bo to przecież na Bojarach się mieszkało. Czego ła idę? - spytał mnie. Brata aresztowali, byli Polacy i byli Sowietci - powiedziałem, a on do mnie mówi szeptem: Spierdalaj, bo i ciebie zamkną. Jak to usłyszałem to już nie poszedłem tam tylko wróciłem do domu.

Polacy to zawsze byli cwańsze od tych głupich sowietów. ~~Ja~~
Jak zabrali nas do tego ich wojska to na początku uczyli jak rozkłada i składa się broń. Dowódca kompanii przyniósł automat i roz

Złożył go a ja podszedłem, ciach i złożyłem go. Wtedy on od razu do mnie: Atkuda ty znajesz? - Smatrił kak wydziekali i złożył - odpowiedziałem. Oo, to my ciebie w wojennoje ucziliszcze wysłem. - I żeby wojna nie wybuchła, to może i wysłali by do tej szkoły. Natomiast jeden gość to mnie zastanawia. Był taki Adamowicz. ~~Miesz~~ Mieszkał na Warszawskiej. On był taki patriota, że jako jedyny wstawał wśród chłopaków na zajęciach i mówił po ~~Rus~~ polsku. Po ~~sowieckim~~ rusku wcale nie chciał rozmawiać. Potem jego jak się okazało przerobili. On znalazł się wśród tych rozbrojonych. W telewizji występował w stopniu pułkownika, na oku miał czarną opaskę, i opowiadał tyle, że pod Stalingradem to on się znalazł, ale jakim sposobem, to już nie powiedział.

Jak przyszli sowieci w 1944 r. to mnie kazali podsłuchiwać co Ruskie gadają, bo znałem dobrze ich język. Był taki oficer ich z Moskwy /za płotem wojsko stało/ on przychodził do nas i nawet pistolet mi dawał, niemiecką parabelle. ~~Raz~~ Na szto ana mienia? - spytałem się. Prigadzitsia - odpowiedział szeptem i rzeczywiście potem miałem ją w partyzantce. Raz ten oficer czytał przy mnie list od żony z Moskwy, że dzieci nie mają co jeść. To moja teściowa aż zapłakała.

W końcu naszych dowódców poaresztowali, zawieźli na lotnisko i powywozili do Moskwy.

Potem na rozkaz moich przełożonych poszedłem do milicji. Gdzieś na przełomie 1944/45, a może raczej wczesną wiosną aresztowali Sieradzkiego Władka, który też był w milicji. Wywieźli go na Sybir i tam zmarł. Ktoś, kto z nim siedział przywiózł jego żonie obrączkę. Tak że powoli zaczęło się robić gorąco. Wyczułem że znalazłem się w takiej jakby izolacji, bo gdy chodzili na aresztowania różnych volksdeutschów to mnie nigdy nie brali. By-

łem w I-ym komisariacie na Lipowej. Siedział u nas sowiet i cały czas dzwonił, może na Lenina - Wsio idzio błagapałuczno. Któregoś razu przyprowadzili do komisariatu matkę mego szwagra i zasta-
nawiałem się: Dlaczego mnie nie biorą na takie akcje. Może i
mnie zgarną. Wstąpiłem do milicji na jesieni 1944. Razem ze
mną poszli do milicji: Henryk Kundzicz "Żubr", młody Sieradzki
/jego ojciec był już w tym czasie wywieziony/^{mówią o nim źle}, Awtuch, Chańko
Janek, Seweryn z ~~Poludniowskiej Szosy~~, Chańsko to był w IV-tym ko-
misariacie. 14 czerwca poszedłem do lasu. Miałem punkt kontakto-
wy koło Zabłudowa. Gospodarz nazywał się Kozłowski i miał nam
dać kkonatak na "Łupaszkę".

W tym komisariacie to zajmowałem się zwykłymi sprawami, nawet
jak kogoś złapali na tle politycznym to nie mieli prawa go prze-
słuchiwać tylko musieli go przekazać do UB. Był natomiast Wy-
dział Specjalny. Z tego komisariatu poszliśmy do "Łupaszkę" w
kilku: Józek Piskor, Kundzicz, Sieradzki. U Kozłowskiego jeszcze
zastaliśmy kilku chłopaków. On mieszkała na kolonii Zabłudów.
Pojechaliśmy do niego rowerami to jeszcze u niego i te rowery zos-
tawiliśmy. Przerzucił nas za Narew i tam już była kompania. To by-
ło w Narewce, w Puszczy Białowieskiej. Podzielona ona była na
kwartały i na każdym rogu wystawiane były warty. Ja też stałem
tam na warcie. Dowódcą był por. Konus. Miał ze 30-tu ludzi. Por.
Konusa poznałem jeszcze za czasów okupacji. Na ul. Skorupskiej,
pod 50-tym numerem był domek z gankiem. Mieszkał tam facet z bród-
ką i niby to handlował z Niemcami, ale w rzeczywistości należał
do AK. Potem ich chcieli nakryć, ale oni dali dęba stamtąd i Niem-
cy opieczętowali to mieszkanie. Ja akurat miałem worek kaszy czy
cukru miałem oddać temu gościowi, czy pieniądze za nie i gdy przy-
szedłem tam zobaczyłem pieczęcie na drzwiach z niemieckimi wrona-

mi więc ja też czym prędzej dałem stamtąd dęba. Potem na mieście zobaczyłem różowe afisze. Na jednym ze zdjęć był właśnie por. Konus. Potem, gdy byłem w jego kompanii spytałem go czy mnie przypomina, bo raz widzieliśmy się przecież na Skorupskiej. Pewnie - odpowiedział - widziałem pana na Skorupskiej. On wkrótce zginął, bo po mojemu nie ~~xxx~~ służył w wojsku, bo nie znał wojennej taktyki. Gdy byliśmy w wiosce Waśki, za miasteczkiem Narew, białorusy ustawili żarcia i picia to on trochę wypił a ja nie piłem, tak jakby wyczułem. w końcu wsiedliśmy na furmanki i mieliśmy jechać na Hajnówkę. Zbliżaliśmy się już do lasu. Chańko Janek miał dużo machorki i krzyczy: Co ja wam będę nosił machorkę. Bierzcie kto pali. Co ja wam tutaj tragarz jestem. - No i ja karabin zostawiłem na furze, była to chyba z piąta fura, i płaszcz wojskowy tak, że została mi tylko parabelka i poszedłem do niego po tą machorkę do samego prawie lasu, do jego początku. Wziąłem ją i od razu padł wystrzał z pistoletu i zaraz usłyszałem: tra ta ta ta - rozległy się karabiny maszynowe. To ja skoczyłem za furę a chłopcy popadali za konie i lejce trzymają a konie dęba stawają. Przebiegłem, kryjąc się za furami - oni strzelali ponad głowami bo może żal było im chłopów a może myśleli, że my się im poddamy. Zdążyłem przylecieć do swojej fury i złapać za karabin i płaszcz ale musiałem go rzucić, bo nie było jak się ostrzeliwać, tylko torbę z amunicją chwyciłem - karabin to był przedwojenny polski mauzer. I razem z por. Konusem biegliśmy polem. Ja biegłem górną skibą a on dolną. Ja samo padłem a on podrywał się do biegu i dostał serię i od razu zmarł. To jego brat chciał tą wioskę spalić za karę, żeby zemścić się za brata. W Tak, że gdy nas tam rozbili to wróciłem do domu w ciągu jednej nocy kierując się tylko gwiazdami - Wielkim Wozem. Tak, że u "Konusa" byliśmy z tydzień,

może dwa. "Eupaszkę" widziałem raz. Przyjechał wtedy na wózku. Był w cywilu. Potem jak już byłem u mjr. Jerzego i on był we wsi to widziałem go przez okno, bo my też tam staliśmy. Po rozbiciu nas pod wioską Waśki to złapali Awtucha i Kundzicza. Potem o tym Awtuchu mówili, że zaczął dla nich pracować, czy to prawda nie wiem. Kundzicz został ranny w tej bitwie i jak sowiet go złapał to chciał go zastrzelić. Już wyjął pistolet ale drugi nie pozwolił. Potem został przewieziony do Bielska a stamtąd do Białegostoku. Tutaj Kundzicz został skazany przez sąd na kaesa. Z tego żal uśmiechnął się lekko do siebie. Prokurator zauważył to i krzyknął do niego: Ty na tamtym świecie i jeszcze śmiejesz się?. To był jakiś Żyd. A teraz do nas mówią, że my antysemita, a przecież kto był w UB? Taki Szuster na przykład. Powiedzieli nam, że kto go załatwi ~~to~~ to dostanie Krzyż Walecznych.

Gdy któregoś razu szliśmy z por. "Bursztynem" zgubiliśmy się, tzn. nie mogliśmy nawiązać kontaktu. Dowódca zastanawiał się przy mnie: Co ja teraz zrobię. Jak nawiążę kontakt? - A ja niewiele namyślając się powiedziałem: Panie poruczniku - nie wiem czy on rzeczywiście był tym porucznikiem, ale tak mówiło się do niego - chodźmy do księdza w Trzciannem. Pogadamy i ksiądz może powie. - I poszliśmy. I to ja zacząłem rozmawiać z księdzem i okazało się, że dobrze trafiłem. Znaleźliśmy kontakt. Jeszcze chłopak usługiwał temu księdzu to zjedliśmy kolację. A potem ja mówię: Toż ksiądz dawał ślub naszemu majorowi. - To powiedziałem i wystarczyło. Już był kontakt. Ale ty cwany - powiedział do mnie porucznik po tym wszystkim. - Nic tu jednak takiego to ja ~~ni~~ nie zrobiłem.

Gdy wracałem z Wasiek to razem ze mną był Janek Słotwiński.

Pochodził z Równego. To był fajny chłopak. Razem wróciliśmy do Białegostoku. Przenocował u mnie a następnego dnia zabrała go jego żona. Spotkaliśmy księ dopiero w Gdańsku. Ja pojechałem tam po rozwiązaniu zgrupowania przez mjr. Jerzego. Dostałem dokumenty na lewe nazwisko, zabrałem żonę i pojechaliśmy na Wybrzeże. Jeden dzień przepracowałem na Westerplatte - do obiadu. Po drugiej stronie, w Nowym Porcie, gdzie teraz posterunek milicji jest to stała ^{tu była kuchnia} barak, gdzie raz dziennie dawali zupę za darmo i tylko o to mam pretensje do majora, że jak nas rozpuszczali to nie dali żadnej odprawy pieniężnej. Ja przez cały tydzień głodny chodziłem. Tylko raz dziennie jadłem w tym baraku tą zupę.

Ubrania żadnego nie miałem to mundury przebarbowaliśmy w wioskach Góra. Wyglądaliśmy jak dwóch czarnych. Razem ze mną jechał erkaemista Zajac. To w wagonie od razu nas poznali ludzie. Poczęstowali nas jedzeniem. Do pociągu to wsiadaliśmy w Łapach i do Warszawy jechaliśmy na gapę, bo szkoda było pieniędzy. Od żony dostałem tylko 100 zł. Gdy ~~przyszedliśmy~~ na dworzec w Łapach spotkaliśmy kolejarza, który nas ostrzegł, żebyśmy nie szli na stację, bo tam pełno UB. Jak pociąg z Białegostoku przyjedzie to dam wam cynk - I tak było. Potem jak konduktor szedł w wagonie i sprawdzał bilety to przechodziliśmy ~~po~~ buforach na drugą stronę, tak żebyśmy się nie spotkali. Dopiero w Warszawie wykupiliśmy bilety do Gdyni a wysiedliśmy w Gdańsku. Wyszliśmy z dworca. Na lewo Wrzeszcz, na prawo Orunia. Olek, idziemy w prawo - zdecydowałem. Przeszliśmy może z pół kilometra i spotkaliśmy mego brata chrzestnego syna. A co wy tu robicie? - był tak samo zaskoczony jak i my. Opowiedziałem mu co i jak. Okazało się że na Orunii miał ~~wilkę~~ ładne dwupokojowe eleganckie mieszkanie

w willi. Dał nam klucze a sam poszedł do pracy. Zjedliśmy obiad i zmęczeni położyliśmy się spać. To jak on wrócił z pracy to ledwo dobudził się nas, tak mocno spaliśmy. Myślałem, że poumieraliśmy. Jak pierwszy dzień poszedłem do pracy na Westerpaltte, to musiałem wstać o 4-tej rano, bo do dworca trzeba było iść pieszo. Zatrudniłem się w Budowlance. No i po południu poszliśmy na tą zupę, a ~~tukxxxxxxxxxxxx~~ spotkałem Janka Słotwińskiego. Był majstrem murarskim. Chcecie ze mną robić - pyta się mnie - Jak tak to idę do głównego majstra i zabieram was do siebie i już po obiedzie my na Westerplatte nie pojechali tylko murowaliśmy garaże, gdzie teraz jest Straż Pożarna. Potem ja mówię do niego: Janek, ale tu dobrze by było wejść na te statki i pracować - bo to były statki UNNRY z żywnością. Tydzień przed Bożym Narodzeniem zaczęli przyjmować do pracy na tych statkach w porcie. Więc ja mówię do Janka: Ty, my nie będziemy w ciemnej bici. Poprosim, żeby nas dali na nocną zmianę do portu, a w dzień będziemy na budowie robić. Tak że ~~jxxxxxx~~ jeszcze tydzień przemęczyliśmy się ale potem to przynieśliśmy do domu dwa worki żarcia. Wszystkiego było w brud. Potem wpadłem chyba w oko takiemu Kaszubowi. Polubił mnie czy co. Pyta się: Chcesz na windzie jeździć? - Chcę, ale nie umiem. Nigdy nie jeździłem. - Chodź, ja się ciebie nie pytam czy umiesz czy nie - powiedział i zaprowadził mnie do widny²¹ na parowym statku. Nie powiedział mi tylko, że jak zjeżdża się w dół to już od początku trzeba powoli hamować, żeby nie rozbić się. I tak zjeżdżam na dół, wciskam hamulec a winda dalej jedzie szybko. Ziemia coraz bliżej a winda nie zatrzymuje się. Aż spotniałem ze strachu, że narobię komedii. Ale jakoś udało się. Zatrzymałem ją w ostatniej chwili. Potem już jeździłem jak trzeba.

Jak wróciłem od "Łupaszki" do domu, to zaraz znowu poszedłem

Bronka /żyje jeszcze/
do lasu. Sąsiadka miała kuzynna w Trzciannem. Był młynarzem.
Przenocowałem w domu i następnego dnia poszedłem z sąsiadką do
Trzciannego. ~~Wtedy~~ Szliśmy oczywiście pieszo. Zaszliśmy
do wsi, to ona poszła do młyna a ja zacząłem rozmawiać z chłopami
licząc na to, że może w ten sposób złapię jakiś kontakt. Rap-
tem zauważyłem, że do wsi weszli szperacze. Zbliżało się UB. Obłą-
wa. Rzuciłem się do młyna, ale zanim tam dobiegłem pomyślałem,
że tam będzie niedobrze, więc gdy szperacze przeszli wyskoczyłem
zza młyna i skryłem się w kartofli. Rosła taka duża. Na polu była
też kobieta, która zbierała niby ziele do koszyka. I ona chyba
widziała mnie jak uciekałem. Panie, o tędy rakiem i do tej sto-
doły - pokazała mi zabudowania nieopodal. Więc wycofałem się na
kolanach do tej stodoły. Wlazłem na ruszt i robię sobie w słomie
gniazdo, bo może UB będzie nocować tutaj, odsuwam słomę i na-
agle ukazują mi się karabiny, mundury. Aa, to ja już u swoich jes-
tem - przemknęło mi po głowie. Następnego dnia poszedłem do są-
siedniej wsi i tam już spotkałem oddział. Majora tam nie było.

Pierwszej nocy zaraz wysłali mnie z patrolem pod dowództwem
"Pajaka" /dowódcy plutonu/ - było nas z 10-ciu do Nowej Wsi. Ka-
rabinu jeszcze nie dostałem. Miałem tylko swoją parabełkę.
Nic nie robiliśmy w tej wsi i wróciliśmy do oddziału spokojnie.
Następnego dnia przyszedł do mnie żołnierz i mówi: Chodź, pan
porucznik chce z tobą porozmawiać. A to był gość z wywiadu. Nie
wiem jak się nazywał. Był wysoki, przystojny. W mundurze. My sie-
dzieliśmy w stodole a on urzędował w przybudówce do tej stodoły.
Zaczął mnie badać: skąd ja jestem, jak, co, dlaczego tu przyszed-
łem. Odpowiedziałem mu na wszystkie pytania. Opowiedziałem jak
nas rozbili pod Waškami i wróciłem do chłopaków. Po godzinie
przynieśli mi automat i zaczęli wystawiać na wartę.

Pamiętam jak któregoś razu szliśmy gęsiego, jeden od drugiego

o jakiś metr oddalony był. Szedł por. Konrad i major Jerzy - to było zaraz po tym jak przyszedłem do oddziału - spytał się mnie: Jak się czujecie? - Dobrze panie majorze. - odpowiedziałem. Innym razem też tak szliśmy gęsiego - ~~to było już w oddziale~~ ~~Pratto~~ - i szła z nami siostra, która z por. "Pratto" chyba była, i ona szła w ostrogach. Mówię więc do chłopaków: Ciekawe, co ta nasza siostra robi z tymi ostrogami jak do ubikacji pójdzie - a por. Konrad szedł za mną i usłyszał to: A ~~no~~ ~~ty~~ skąd ty taki mądry - zawołał. Zrobiło mi się głupio. Potem, po latach już, widziałem tego "Konrada" w I-ym ogólniaku, bo moja córka uczyła się tam. Nie wiem jednak jak się nazywa i czy jeszcze żyje.

Potem z Trzciannego poszliśmy na Kurpie. W jednej ze wsi poszliśmy do kościoła. Wszyscy poszli do spowiedzi. Karabiny stały w kozłach, a za godzinę biliśmy się. To było pod granicą z Prusami. /Wieś nazywała się Leman - J.K./. Jeszcze wcześniej pamiętam jak staliśmy w wiosce Piaski, to przyszedł do nas rybak nazywał się Snarski. Powiedział dowódcy, że ukradziono mu siatki. Wiedział nawet kto ukradł mu je - był to rybak z Tykocina. Porucznik wysłał mnie z jeszcze jednym chłopakiem do Tykocina, żeby wyjaśnić tę sprawę. Rybak miał mieszkać w domku na ~~przeciw~~ pomnika Czarnieckiego. Snarski podwiózł nas pod sam ~~brzeg~~. Rybaka zastaliśmy w domu. Byli tam jeszcze jego ~~syn~~ córka i młody chłopak. Nie chciałem mówić o tej sprawie przy nich więc spytałem się czy nie przewiozłby nas ~~na~~ przez rzekę. To ja panów przewiozę - ~~wyrwał~~ się młody. Nie - odpowiedziałem - jeszcze gdzie pan wywróci łódkę - nie mogłem przecież zgodzić się na to. - Lepiej jak starszy człowiek, bardziej doświadczony. No i ten zaprowadził nas do łódki, ale już chyba czuł o co chodzi. Od-

płynęliśmy trochę od brzegu i ~~m~~ pytam się go: No ojczulku, jak tam te siatki - a ten od razu zawołał: Panowie! ~~Oxxxxxxx~~ już, o zaraz przywiozę. - Panie, tak to nieładnie - tłumaczyłem mu - pan starszy człowiek, panu pasuje, żeby wziąć od kolegi siatkę zabrać. - Panowie, kochani, ja już przywożę - przyrzekał. Patrz pan, żeby za 15 minut te siatki leżały na drugim brzegu - powiedz działem do niego. I rzeczywiście zaraz to zrobił. Snarski poczęstował nas obiadem taki był zadowolony.

Innym razem, to pod Kurpiami było, przyszli do nas na skargę chłopci, że chodzi taki jeden po wsi i zabiera ludziom wódkę. A to był akowiec. To temu dałem parę pał. Zgniewał mnie drań. To jeszcze był z nami wtedy major. Potem ~~nik~~ jak się dowiedziałem ten bandzior chciał z jeszcze jednym swoim kumplem zasadzkę na nas zrobić.

Pomimo tego, że chodziliśmy po lasach, to jednak do żadnych potyczek z UB nie dochodziło. Jak byliśmy na koncentracji to chłopaki chcieli na Białystok iść. Czego my chodzimy? - pytali się żli na to bezsensowne wałęsanie się po lasach. Bo np. Górę otoczyło UB i my widzieliśmy ubeków. Mogliśmy ich ~~xxx~~ zaskoczyć, ale rozkazu nie było. Siedzieliśmy jak mysz pod miotłą, a chłopaki niektóre to rwali się do walki jak pioruny.

Oczywiście maszerowaliśmy przeważnie nocami. Jednego razu dotarliśmy porządnie zmęczeni do jakiejś wsi. Rozłożyliśmy się już w stodole. Pokładliśmy, niektórzy śpią, inni jeszcze rozmawiają a tu nagle ~~alarm~~. Oddział otoczony! To gnaliśmy 10 kilometrów. Potem okazało się, że na darmo. Czy nam takie ćwiczenia zrobili, czy co. Chłopaki byli złe jak cholera.

Innym razem staliśmy w wiosce koło Białegostoku. Przyszła wtedy żona ~~na~~ por. "Pratto". A jeden wileniak stał na warcie. Gdy go

zmienili i przyszedł do nas do stodoły i rugnął "Pratta":
O skórwysyn, przyszła żona z dzieckiem i nie pocałował się nawet.
Tam politykować to się nie politykowało, bo to wojsko, nic takiego
mówić więc nie można było czy mu się podobało czy nie, ale
wileniak był zdenerwowany.

Gdy byliśmy nad Bugiem, koło Małkini, ~~xxxxxxixxxxxxxxxxxxxxxxx~~
~~którzyxx~~ natknęliśmy się na
złodzieki, którzy na furze wieźli ukradziony w nocy ze spółdzielni
cukier. Bierzcie chłopcy, ile kto chce - powiedział porucznik.
Zabraliśmy im ten cukier, tak że miałem tego cukru z kilo może
dwa. Złodziei tych puściliśmy wolno. Niedaleko była wioska Orzo-
łek i ja z Olkiem popadliśmy tam u gajowego na kolację. Gajowy
butelkę wódki postawił, ja oddałem mu ten cukier, bo po co mia-
łem go nosić. Olek też oddał swój. I chciałem sobie pożartować
trochę z Olkiem i lekko ~~z~~ kopnąłem go pod stołem w tyłek. I, ku
memu zdziwieniu zwychnąłem lewą nogę. Tak mocno, że nie dałem
rady wstać. No to jakoś dokuśtykałem do sąsiedniej chaty, w któ-
rej ~~xxx~~ stał "Pratto". Zameldowałem mu o tym i pytam się go:
Panie poruczniku, co będziem robić, nie dam rady iść? - ale ~~ks~~
ksiądz był i mówi do mnie: Siadaj na krześle - i podszedł do mnie
Chwyć za nogę, tak jak buta się ściąga i naciągnął mi ją, ale
dalej bolała. No i jak - pyta się. Na razie boli - odpowiedzia-
łem. Więc wzięli furę i posadzili mnie na nią. Na furze jechała
też nasza siostra, ta "Pratty" dziewczyna, "Amazonka" z tymi os-
trogami. Wóz miał koła żelazne, to na wybojach co raz to podrzuca
my siedzimy z woźnicą a ta sanitariuszka ~~z~~ cały czas poprawia
się, próbuje jakoś wygodniej usadowić się. Chłopa jak to zobaczył
mówi: O jak pani taka wygodna to trzeba było w domu siedzieć, a
nie w partyzantce być. - Wyczułem tego chłopca, że fajny, to go

jeszcze nogą stuknąłem lekko, żeby dalej jeszcze tak jej dogadał, bo co to? - materacy to u nas nie było. No, gdy dojechalismy do celu nad ranem, to ból w nodze mi ustąpił. Mogłem już chodzić.

Pamiętam, że gdy jeszcze u "Łupaszkii" byłem i byliśmy na akcji w Narwi to chłopaki brali chłopów do stodoły i strzelali im nad głowami, żeby w ten sposób przestraszyć ich i dowiedzieć się tego o co im tam chodziło. Ale mnie przy tym nie było, bo byłem w innym miejscu. Chyba na warcie, na obstawie. A tak co się działo, to wszystko wiedzieli tylko dowódcy a nie szeregowi żołnierze.

"Pratto" to chwalił się nam, że przed wojną był w II-ce. W lipcu poszliśmy pod Stoczek Węgrowski koło Warszawy. Mieliśmy tam zlikwidować bandę, która rabowała miejscowej ludności bydło i mięso. Okrążyliśmy las w którym oni byli. Udawali partyzantów. Ubrani byli w mundury. Jak ich odprowadzili na rozstrzelanie, a było ich około 15-tu ludzi, to akurat stałem na górze, w lesie, na warcie. Jak dali do nich serię to aż gałęzie nad moją głowę zaczęły spadać. Skuliłem się ze strachu: Cholera - pomyślałem, -
i
jeszcze gdzie mnie tu trafią.

W miasteczku ludzie jak zobaczyli, że to partyzanci to stawili wszystko. I wódkę też, ale ja pomyślałem: wódki to ja nie będę pić. Ale napił się Dołek. Gdy już wyruszyliśmy w drogę razem z jeszcze jednym chłopakiem zostałem wyznaczony na tylne ubezpieczenie. W pewnej chwili zobaczyłem, że Dolek Ambroży "Maszt", chwając się ~~pod~~ zszedł z drogi i położył się pod krzakiem. Po chwili jeden z partyzantów również odłączył się od kolumny i podszedł do niego. Pomyślałem, że pewnie pomoże mu wstać i do-

łączyć do grupy i poprowadzi go czy jak. Zamiast tego nagle usłyszałem serię z autoamtu. Aż niedobrze mi się zrobiło. On go po prostu zastrzelił z rozkazu por. "Pratto". Nawet do głowy mi nie przyszło, że coś takiego może się stać. Gdybym wtedy wiedział że nie będę sam, to bym go zastrzelił, taki byłem wściekły na niego. Znałem tego Dolka, bo był z Białegostoku. Kiedyś gdy przyszliśmy na koncentrację - odbywały się one mniej więcej raz na miesiąc - do jakiejś wsi i myślę sobie: Przejdę się przez wioskę. Może jakiego znajomego spotkam. Jak tak schodziliśmy się to wszyscy byli dopiero odważni. Jak zaśpiewali, to ziemia drżała. Na parę kilometrów słychać nas było. No i idę przez wieś a tu za płotem ten Dolek stoi. Cześć Czesiek! - zawołał do mnie zadowolony. Złapał mnie za szyję i obcałowuje. Mieszkaliśmy w jednej dzielnicy. Sąsiad były przecież. Tak, że długo jeszcze zastanawiałem się, co "Pratto" miał do niego, że kazał go zastrzelić. Do dziś dnia zastanawiam się. Toż wtedy najedzeni to my przecież nie byliśmy. Czy to dużo trzeba było, żeby być pijanym?

Gdy wróciliśmy z tego rajdu do Kulesz to mjr "Jerzy" chyba już wszystko wiedział. wyszedł przed dom i mówi do nas: Kto nie chce być pod dowództwem por. "Pratty" proszę wystąpić trzy kroki z szeregu. - Byłem gotów to zrobić ale się bałem. Może gdzie jeszcze rozstrzelają czy co? - myślałem sobie. Ale w końcu odwaga wzięła górę i wystąpiłem trzy kroki z szeregu. Zerknąłem lekko na bok - wszyscy poszli za mną. W szeregu zostało może 4-ech czy 5-ciu. Od razu lżej zrobiło mi się na duszy. Ale to nie był jeszcze koniec, bo okazało się, że następuje rozwiązanie zgrupowania. Mjr "Jerzy" powiedział: Chłopaki, teraz was rozpuszczamy. Pamiętajcie. Możecie gdzie chcecie iść do pracy. Nawet i do UB, ale pamiętajcie, że polakami jesteście. ~~Tykoxxxxxxxxxxxxxxxx~~ No i za

raz dał nas do por. "Bursztyna".

O por. "Pratcie" to nikt nic złego nie mówił, zresztą to było przecież wojsko. O tym, co zginął, też nikt nic nie wspominał, ale co kto myślał na ten temat to widać było w Kuleszach. Bo gdyby go lubiano to nikt by nie wyszedł. W Kuleszach byliśmy chyba w końcu sierpnia. Wrzesień to jeszcze chyba nie był.

Co to jest, że nam nie dają walczyć - dziwili się chłopaki, - bo poszlibyśmy i rozbroili Białystok Tak rwali się do walki. Uzbrojeni byliśmy przecież dobrze. Erkaem był na kilku ludzi. Były automaty niemieckie irosyjskie.

U "Bursztyna" to porozbijali nas na 6-cio osobowe patrole. Mało już nas było.

Teraz, gdyby tak co do czego przyszło, to chyba już nie poszedłbym do lasu, tak jak wtedy, bo ludzie mnie wkurzają. Tylko pieniądz się liczy. Patriotyzmu za grosz nie ma.

Jak jeszcze byłem u "Pratty" to nasza kompania stanowiła ochronę sztabu. X Chłopcy nosili radiostację, ale kto nadawał to nie wiem. W walizie takiej była. Nie słyszałem też by nadawali z niej jakieś meldunki czy też coś przyjmowali.

Major to był przyjemny, sympatyczny. Chłopcy lubili go. Był jak ojciec. Szpakowaty, nie był już taki młody. Pamiętam jak w nocy nasza kompania obstawiała Trzcianne. Dowiedziałem się od chłopaków, że major bierze ślub.

Po jakimś czasie na jednym z postojów okazało się, że rozpuszczają nas do domów. Jacyś oficerowie przywieźli dokumenty i pytali się, czy chcemy być zdemobilizowani i czy bierzemy te lewe dokumenty. No to ja wziąłem te dokumenty. Niektórzy to zostali dłużej, jak chcieli. A ja z Zającem pojechaliśmy do Gdańska. My, partyzanci to działaliśmy tam może lepiej jak w lesie, bo kto

zrobił strajk w porcie. Partyzanci właśnie. Akowcy. Robotnicy źli byli, bo płace niskie, nic nie ma a widzieli jak ludzie z Zachodu przyjeżdżali i wszystko mieli. ~~Strajk w porcie~~ Pracowałem wtedy w firmie "Bandera" jako stały pracownik. Razem ze szwagrem pracowaliśmy na windzie. Mieliśmy białe czapki, żeby chroniły nas od słońca. Firma zajmowała się rozładunkiem statków i stałych pracowników to miała tylko kilku. Jak nie było statków, to wykonywaliśmy prace gospodarcze, układaliśmy liny i.t.p. Jak były statki do rozładowania to robotników brało się z Urzędu Zatrudnienia. Do rozładowania były różne statki czy to z węglem, czy to z rudą, czy z deskami. Oczywiście najlepiej było rozładowywać UNNR-ę, bo tam było wszystko i papierosy i jedzenie, a "Bandera" właśnie głównie rozładowywała statki UNNRY. No i jednego dnia poszedłem do pracy, razem ze mną był ten wileński - erkaemista Zajac - i posiadaliśmy sobie na trawce na Oliwskiej i czekamy na pracę. Przyszedł jakiś facet i mówi, że zebranie jest przed Urzędem Zatrudnienia. To niedaleko, bo wszystko było w jednym miejscu. Gdy przyszedliśmy na miejsce zastaliśmy już dużo ludzi. Wszyscy krzyczeli, że strajk będzie. No to jak strajk to i my siedzimy na trawie. Przyjechał jakiś facet z Komitetu czy skąd i mówi: Panowie idźcie do pracy, tu na was świat patrzy, stanowicie okno na świat - ale robotnicy podnieśli zaraz szum, zaczęli pokazywać mu, że chodzą ubrani jak łachmaniarze i nie dogadali się z nim. Potem przyjechał Rusinek, co to jego nazywali "kosynier", bo Gdyni bronił w 1939 r. Był potem ~~na~~ ministrem. Ten też przemawiał przez okno, ale nikt nie chciał go słuchać. Rozległy się okrzyki: Pojedziem do Gdyni. Niech cały port stanie. Potem jeszcze jacy faceci próbowali przemawiać, ale to nic nie dało i w końcu przyszło UB. Ubecy ubrani byli w cywilną

ne ubrania i przemieszali się z ludźmi. A robotnicy, chociaż to była zbieranina z całej Polski, ~~rozjedeni~~, a najwięcej wśród nich było akowców z za Buga, to jednak już znali się po twarzach i poznali, że cudze weszli między nich. Wtedy oni do ubeków: Czego oni tu przyszedli, wtedy ubecy zaczęli wycofywać się a jeden z nich, jak potem się okazało porucznik UB, ze strachu wyjął pistolet i wystrzelił do góry to bractwo jak się rzuciło na niego to jak wilki. Wszyscy zaczęli uciekać. I czy to on czy drugi chciał skryć się w konsulacie radzieckim, ale wartownik kopnął go i wygnał na ulicę: Szto ty do raboczych strelajesz? - powiedział do niego. Ubek rzucił się do ucieczki ulicą. Robotnicy zatrzymali tramwaj i tym tramwajem go pędzili. Uciekał w kierunku Gdańska.

Ja tam nie poszedłem. W tym czasie szwagier przyszedł z domu i mówi do mnie: Idź na obiad. I w tym czasie gdy mnie tam nie było wpadło KBW z Bydgoszczy. Byli w angielskich Hełmach, zabierano je chyba żołnierzom polskim wracającym z zagranicy. I każdego chłopca, który nawinął się im pod rękę brali za dupę do Gdańska na UB. wystarczyło, że szedł chodnikiem i szwagra wtedy też zabrali, ale go puścili bo powiedział, że gdyby tam latał to chyba by go poznali, bo przecież był w charakterystycznej białej czapce. A inni, nawet Bogu ducha winni podostawali niezłe wyroki. U nas np. mieszkał sąsiad, który lubił popić i w tym czasie, gdy były te zajścia to właśnie spał, bo był pod gazem, a potem - gdy łapali już na ulicach - to on wyszedł na ulicę i dostał 8 lat więzienia. To jak jego zięć poszedł go szukać to kazali mu uciekać bo i jego zamkną.

Innym razem strajk zaczął się w nocy. Właśnie postawiliśmy zasieki z drutu kolczastego dookoła statku, żeby tam nikt nie za-

ził. Była tam chyba straż unrowska. I przyszedł taki jeden warszawiak. Był chyba w Oświęcimiu, bo na ręce pokazywał nam wytatuowany numer i mówi do nas: Co chłopaki, nie dość, że my w czasie okupacji pod bagnetem robili to jeszcze i teraz w Polsce mamy robić pod bagnetem? Nie robimy. - Popatrzyłem żebractwo przestało robić i poszli na inne statki zganiać chłopaków. I znpwu strajk. Mętliku było niemało. To ten strajk był chyba pierwszy. Odstęp między nimi był chyba miesiąc.

A wracając jeszcze do tego większego strajku. Jak wróciłem z domu z obiadu to poszedłem na Plac, żeby dowiedzieć się co się w tym czasie działo. Akurat zaczęli wracać ci chłopcy co gonili tego ubeka. I jeden z nich opowiadał: Strzelał, ale wystrzelał wszystką amunicję i nie miał czym strzelać - tak że tyle wiem. Potem pomału port zaczął pracować. Najpierw pracę zaczęli partyjni. Najpierw jedna winda ruszyła, potem druga zaburczała i pomału ludzie poszli do roboty.

Następnego dnia pogrzeb był. Trochę bałem się, bo byłem na lewych papierach. A wszyscy robotnicy szli na ten pogrzeb we Wrzeszczu. I tak idziemy, a na chodniku stoją dwie kobiety i jedna na mówi do drugiej: Proszę pani, ja tego nie mogę zrozumieć. Oni zabili jego i oni jego chowają.-Roześmiałem się w duchu. Smieszne to było.

Może i bym został w tym Gdańsku, bo już miałem mieszkanie, ale mojej żonie nie odpowiadał ten klimat. Bardzo źle się czuła. Więc w końcu musiałem wrócić do Białegostoku. Początkowo był spokój. Nikt mnie nie czepiał się. Ale tylko przez 8 miesięcy. Potem już 9 lat, aż do 56 roku całyczas to wołali do siebie, to rewizje były.

Jeszcze wcześniej w Gdyńsku ujawniłem się na UB, że zdezer-

terowałem z milicji. Por. Buczek to sam napisał mi parę słów nie szukał tam nic. widać było, że to Polak. W porządku facet. A tu jak wzywali to trzymali po 6 godzin i dawali 8-10 kartek papieru podaniowego i kazali pisać wszystko dokładnie, kogo tam się miało: babkę, wujka, dziadka i kto tylko był na świecie. Dziwiła mnie tylko jedna rzecz, że oni nigdy mi nie zaproponowali, żeby ja współpracowałem z nimi. Oczywiście całej prawdy nie mówiłem, bo pewnie bym siedział za to, bo przecież do lasu poszedłem z własnej woli a powiedziałem, że mnie zmusili. ☉

Ostatni raz wezwali mnie na przesłuchanie w 1956 r. Na miesiąc przed tym wezwaniem przyśnił mi się sen: jestem u swego kuma, w pokoju stoi stół okrągły, dookoła niego stoi kum, jego ojciec, ja, na stole stoi wódka i mamy ją wypić gdy wchodzi nieboszczyk sąsiad./.../ Wyszło tak, że po 6 tygodniach mam umrzeć. Przejąłem się trochę tym snem. Obudziłem się i mówię do żony: Hela, weź kalendarz i odlicz te 6 tygodni. Zobaczymy co z tego wyjdzie. No i minęło te sześć tygodni. Wstałem o 6 rano, gołę się, bo idę do pracy i słyszę kroki na schodach. Mieszkaliśmy wtedy na górcie a schody były drewnianem Pukanie do drzwi. Otwieram. Milicjant stoi. Przyniósł wezwanie na Komendę Wojewódzką. O godz. 8 rano mam stawić się w Wydziale Specjalnym na Warszawsk~~ie~~ szej, gdzie dzisiaj jest kolegium. Poszedłem. Posadzili mnie koło drzwi, z dala od stołu, i milicjant wyciąga pisemko, jakby urzędowe i czyta mi, że dnia tego i tego roku 1945 brałem udział z bronią w ręku w napadzie w miasteczku Narew na posterunek milicji. - Gdybym brał udział w tym, to bym na amnestii się przyznał do tego, a jak mnie tam nie było, to dlaczego mam mówić, że byłem. W samej Narwi byłem, ale nie w tym miejscu, przy posterunku. Ja tam to tylko jedną rzecz zrobiłem, ale o tym już rzecz jasna

nie wspominałem przesłuchującemu mnie milicjantowi. Przy drodze skręcającej na Hajnówkę stała stodoła, na której był napis: Sława wielikamu Stalinu. Popatrzyłem na to, pomyślałem i małą siekierką, którą miałem ze sobą, wyrąbałem słowo Stalinu, a wyciosałem w to miejsce AK. I to było wszystko. Ja tam byłem po prostu na warcie.

I ten śledczy coś tam pisze i pisze a ja mówię do niego: Proszę pana, ja teraz jestem u was to wy możecie powiedzieć nawet, że ja spaliłem Białystok, a Niemcy przecież to zrobili.- A on na to, że: Ja przecież mogłem uciec z lasu, przyjść do nich i oni daliby ochronę. - Jaką ochronę - przerwałem mu. - Panie, jak wy mieliście jechać na obławę, to już w lesie dawno wiedzieli o tym. Taki mieszka na Wasilkowskiej na przykład, robi pomniki, Hering /Gering ?/ nazywa się to jego żona była sekretarką szefa UB i współpracowała z AK. To artykuł był o tym w gazecie. Jakies pół roku temu.

W końcu śledczy dał mi do czytania te swoje wypociny i sam wyszedł z pokoju. Wiedziałem, że mogą mnie obserwować, więc twar- do siedziałem na miejscu, chociaż mogłem zerknąć do tego dokuman- tu, ale wolałem tego nie robić. W czasie przesłuchania to widzia- łem jak przeglądał moje papiery to coś podkreślał czerwonym o- łówkiem i zadawał mi potem pytania, ale ja swoją spowiedź to u- miałem już jak na pamięć jak pacierz, tak, że zawsze mówiłem to samo, bo gdybym w którymś miejscu pomyliłbym się to ubowcy zaraz by wiedzieli, że coś kręcę, a tak nie mieli do czego się przy- czepić. No i czytam ~~xxx~~ te zeznania i wchodzi do ~~k~~ pokoju ubek. Chwilę postać, popatrzyłem i wyszedł. Po chwili wszedł drugi, popa- trzyłem i wyszedł. Potem to ~~z~~ znowu trzeci, czwarty, piąty, szósty, siódmy, ósmy, dziewiąty i dziesiąty. Co za diabli - pomyślałem

Na końcu wszedł ubek, który dzisiaj jest sekretarzem w Zbowiedzie - Mikołaj Andruszkiewicz, stanął i rzucił się do mnie: Coś ty skórwysynu z ludźmi robił? - gdy to usłyszałem przygotowałem się już na najgorsze. Jak siedziałem na krześle to odsta-
wiłem lekko prawą nogę, żeby - jak dostanę w twarz - to nie spaść z tego krzesła, ale nie uderzył mnie i wyszedł. No ciekawe co tu będzie dalej - myślę sobie. Przyszedł ten co mnie przesłuchiwał, przepustkę wypisał i puścili mnie. Od tej pory nigdy więcej już mnie nie nachodzili.

Jak przyjechałem z Gdańska do Białegostoku po ujawnieniu to z pracą ciężko było. Najpierw poszedłem do Zakładów Sierżana, bo tkaczemy byłem przecież i znałem się na tych wszystkich robotach w fabryce włókienniczej. Zaszedłem do personalnej a ona pyta się mnie: Co pan umie robić? - Wszystko, proszę pani i na wykończalni i na farbiarni. - Jak to usłyszała to była ~~z~~ taka zadowolona, ale jak zobaczyła dokum^ent z ujawnienia to zaraz blada się zrobiła i mówi cienkim głosem: Ale wie pan, my na razie etatów nie mamy. - No a przedtem to przecież każdego brali do roboty, byleby tylko się zgłosił a tu raptem etatów brak. No i zacząłem chodzić po różnych instytucjach, ale gdzie tam, mowy nie było, żeby do pracy przyjęli takiego jak ja. W końcu koledzy powiedzieli mi, że bym przyszedł do nich do Spółem węgiel ładować. No, ja już byłem w takiej sytuacji, że jexxxszcze trochę a bym z powrotem do lasu poszedł. No to zatrudniłem się do tego węgla. Ale wziąłem się na spo^osób. Popatrzyłem na tych urzędników, co to do pracy zawsze chodzili ~~z~~ w garniturach i ja też postanowiłem, że tak będę się ubierał, ale nie byłem tam na etacie, tylko tyle ile załadowałem to tyle zarobiłem. Na złość tym z biura postanowiłem, że będę w garniturze przychodził

do pracy i codziennie miałem czyściutką, białą koszulę. To wszyscy dziwili się, że ja do węgla i tak czysto się ubieram. I powoli znaleźli się przyjaciele, przyjęli mnie do pracy na stałe, w końcu zostałem nawet brygadierem. Jak przyjmowali do pracy to Związek Transportowców Mackiewicza zrobił zebranie robotników i pytali się ich czy mnie przyjąć do roboty czy nie. To było poniżające. Byłem taki zły, że pomyślałem sobie, ~~jak~~ ~~xxxxx~~ żeby tak mieć jakąś bombę, cisnąłbym w środek to wszystko poleciałoby. Co ty mnie tu przyjmujesz, jakbym ja tu był jakim bandytą czy co - myślałem sobie, ale ludzie zaczęli krzyczeć: przyjąć. No i jak zostałem brygadierem to tak ustawiałem robotę, żeby płace na koniec miesiąca w brygadzie były mniej więcej równe. Bo były wagony, na których można było wyrobić i trzy dniówki w jeden dzień a były wagony, na których skromną dnióweczkę tylko można było zrobić. Więc prowadziłem zeszyt, w którym notowałem, kto na jakim wagonie pracował danego dnia następnego kierowałem go do lepszego wagonu albo gorszego, jeżeli dzień wcześniej pracował na lepszym, tak że płace były u wszystkich prawie takie same, a jak oszedłem stamtąd, to ludzie szum zaczęli robić, żeby mnie z powrotem przywrócili, bo różnice w wypłatach pod koniec miesiąca dochodziły i do 1,5 tysiąca a wtedy to było bardzo dużo, bo now brygadzista zaufanych swoich dawał do lepszych robót a pozostałych do gorszych.

Potem w rachubie zarobki obliczałem. I któregoś razu na inspekcję przyjechał specjalista z warszawy, który już 32 lata w zawodzie robił. W tym czasie akurat w Sokółce zabił się w wypadku drogowym kierownik Spedycji Społem i ja zastąpiłem go przy obliczaniu zarobków w Sokółce. No i ten kontroler mnie ostatniego sprawdzał. Wziąłem ze sobą kanapki na cały dzień i zam-

knęliśmy się w moim pokoju. Trochę się bałem, bo to zawsze może się coś znaleźć, ale sprawdził wszystko od 3-ej do 9-ej siedzieliśmy i nic nie znalazł. Pyta się mnie więc: jaką ja szkołę mam? - Podstawową skończoną na rąty - odpowiedziałem. Był zaskoczony, skąd tak bez wykształcenia, tak dobrze znam się na obliczaniu zarobków.

No i tak pracowałem kilka lat w tej rachubie. W końcu wyczułem, że chcą mnie zwolnić, kilku już poleciało z pracy i ja chyba miałem być ostatni. Dali mi już człowieka, do przyuczenia w tej rachubie, to pewnie miał mnie zastąpić, ale w ostatniej chwili wstrzymali zwolnienie mnie. Jakoś w tym czasie, kolega mój powiedział mi, że mogę pracować jako dyspozytor w Pekaesie, więc poszedłem tam. Posadzili mnie na tej dyspozytorni i to było wszystko. Nie wiedziałem co trzeba robić, jak kierować tym wszystkim, to pytałem się kierowców i konduktorów co mam robić. Chłopaki jakoś mi pomogli.

Wracając jeszcze do oddziału por. "Pratto". Pod tym Stoczkiem, jak rozbiliśmy tą bandę rabunkową, to wzięliśmy od nich furę, na której leżał potężny wół. Nie wiem gdzie go powieźli. Potem pamiętam, że jak szliśmy przez las to zabłądziliśmy. Chłopaki śmieli się, że to mapa okrągła. A komendant milicji w Łapach to przeprowadził nas przez most kolejowy w Łapach. W jednej ze wsi pod Białymstokiem to chłop jak nas zobaczył to zaczął walić w szynę na alarm.

Jak byłem jeszcze w milicji to zdarzyła mi się taka historia. Zona powiedziała, że idzie do siostry i poszła. Czas mijał a ona nie wracała. Obiad minął a jej nadal nie ma. Poszedłem więc na Sosnową do siostry. Po drodze spotkałem znajomego, od którego dostałem gazetkę podziemną. Złożyłem ją i schowałem do tylnej

kieszoni i poszedłem do siostry. Wchodzę do mieszkania a tam "kocioł". Żona otworzyła mi drzwi a w środku sowieci. W tym momencie przypomniała mi się, że mam w tylnej kieszeni gazetkę. Żeby tylko mnie nie sprawdzili, bo wtedy cała rodzina pojedzie na Sybir. Ale miałem na sobie mundur milicjyny, więc wszystko poszło dobrze a żonę puścili.

Spisał Jerzy Kutak